№ 41 Warszawa, dnia 2 (14) Października 1882 roku.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kop 80.—Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2 kop 50. Numer pojedyńczy kop. 15. Przedpłata dla GALICYI wynosi we LWOWIE w księgarni GUBRYNOWICZA i SCHMIDTA kwart. w miejscu złr. 3 na prowincyi z przesyłką pocztową złr. 3 c. 80. W KRAKOWIE w księgarni GEBETHNERA i S-ki kwar w miejscu złr. 2 c. 75 na prowincyi złr. 3 c. 50.—w POZNANIU prenumerować można w księgarni LEITGEBERA i S-ki kwart. w miejscu prenumerata wynosi marek 5, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie, przy ulicy Widok Nr. 3.

TREŚĆ: Córka Dyonizego Papin (dramat). — Ostatnie listki (wiersz). — Z opowiadania rezydenta (powieść) (dalszy ciąg). — Do Algieru przez Hiszpanią i Maroko (dalszy ciąg) —, Przegląd literacki.--Z kraju i z zagranicy.—Zawiadomienia. W Dodatku: Walki życia. Przemysłowiec. Przez Jerzego Ohnet. Przekład z francuzkiego (dalszy ciąg).

CÓRKA DYONIZEGO PAPINA.

DRAMAT HISTORYCZNY W JEDNYM AKCIE.

Przez

Jana Mirval.

Przekład

Seweryny Duchińskiej.

OSOBY:

Dyonizy Papin lat 60.
Zeuner, Burmistrz.
Herman, uczeń Papina.
Karl, przewoźnik.
Hans.
Beniamina, córka Papina.
Barbara, stara rybaczka.
Przewoźnicy, Żołnierze.

Rzecz dzieje się w Münden (w księstwie Hanowerskiem) w r. 1707.

Teatr przedstawia ubogą karczmę. W głębi wielkie drzwi wychodzą na pola. Na prawo stół i ławki. Na lewo komin. Model statku, sieci i wiosła porozwieszane tu i owdzie. Dwoje drzwi bocznych.

SCENA I.

BARBARA (sama, siedzi na lewo i naprawia sieci. Słychać poświst wiatru). Brr! te pierwsze wichry jesienne, co wieją nad Hanowerem, tak ostre, że przejmują do szpiku kości... Żaden podróżnik nie puści się w drogę na czas taki (wzdycha). Nikt nie zakołacze do nędznej karczmy w Münden! Ha! gdzież to podziały się te czasy, kiedy zamiast czekać smutno na podróżnych, biegłam boso, z włosem rozwianym i obok rybaków zarzucałam siatkę moją w głąb' Wezery! Łódka była mieszkaniem mojem, nie bałam się niczego, ani słońca, ani chłodu, ani wichru, ani rozhukanych fal rzeki! Ale młodość ubiegła, łódź moją zamieniłam na chatę, wiosła zastąpiłam igłą, i oto ja dzika rybaczka, com stawiała czoło najśmielszym, jestem dziś starą karczmarką, służyć muszę każdemu!... dziś już nie czatuję na rybę, ale na podróżnika!... a jak rzucałam niegdyś do wody lichą płotkę, tak dziś wypycham za drzwi ubogiego wędrowca bez pieniędzy!... Z bogatymi inna rzecz... tych nie wypuszcza... z garści, aż mi wprzód zapłacą daninę!... Ich złoto, srebro, klejnoty, wszystko to moje... wszystko!... (Wstaje, z kryjówki przy kominie wydobywa wielką misę drewnianą) wszystko!... (Stawia misę na stole.) Kiedy n utno, rozkładam mój skarb!... (Wysypuje na stoł złoto, srebro i klejnoty) i zaraz mi jakoś weselej!... Kiedy czuję, że mnie starość przygniata, wlepiam oczy w moje bogactwo... (Pochyla się nad stołem) i młodość wnet powraca!... Kiedy mi zimno, pieszczę się z mojem złotem... (zanurza rękę pomiędzy dukaty) i ciało moje rozgrzewa się natychmiast... (Bierze kolczyki brylantowe i podnosi głowę do góry.) Ha! te brylanty... świeciły w uszach pięknej pani z Monachium, której powóz rozbił się u wrót moich... (Z uniżonym pokłonem.) „Racz pani wnijść, odpocząć chwilę u mnie, zaczem naprawią powóz!" Pani wchodzi, siada na ławie, chce pić .. (Z szyderczym uśmiechem.) Podaję napój... ona zasypia, a tak twardo, że śpiącą zanoszą do powozu... Obudziła się w drodze, lecz bez brylantów Barbary!... Jak one błyszczą, leżąc w ręku starej Barbary!... Jak one błyszczą, jak się iskrzą, jaki płomień z nich bije. Ah! oddalabym wszystkie gwiazdy z nieba za te gwiazdy co rozjaśniają nędzę moją!... (Rzuca brylanty w misę, bierze pełną garść pieniędzy.) Ba! te miedziaki... dobywane po jednemu z torby żebraczej... to krople wody, co tworzą wielką rzekę. (Rzuca miedziaki w misę.) Ha! srebro! (Wyjmuje sztuki srebra.) Wy gospodarze, coście jechali za kupnem bydła na jarmark do Kassel, włościanie, coście wracali z targu sprzedawszy wasze zbiory, dziedzice z wyładowaną szkatułą, wy nie wiecie kto zabrał wasze kreutzary. Oto stara Barbara! Mogłabym zakupić moc bydła i domy i ziemię... ależ wolę zachować pieniądz. (Rzuca sztuki srebra do misy. Biorąc pierścionek ze stołu.) Obrączka? (Śmieje się.) O tak, to pierścionek tej narzeczonej! Jak ona płakała, gdy się spostrzegła że jej zginął! Ba! jemu lepiej u mnie, niźli na jej palcu! (Rzuca obrączkę w misę. Bierze w rękę garść złota.) Ha złoto... miłe złoto! (Wiatr świszcze coraz głośniej.) Co za łoskot! Ktoś idzie! (Chwyta skarb i stawia go napowrót.) Nie! to wiatr! A więc zadmijcie uragany!... rozszalej się burzo! złącz głos twój z brzękiem złota. (Przesypuje garścią dukaty.) Złoto' jeszcze złoto!... zawsze złoto!... mienią mnie ubogą... a jam bogata. (Wiatr świszcze znowu.) Tak, wściekaj się burzo! nikt nie zakołacze do drzwi moich... nikt nie ujrzy tych bogactw... nikt mi nie przeszkodzi, liczyć moich dukatów. (Składa pomału sztuki złota do misy.) Sama jestem... zupełnie sama... z moim skarbem!... (Przyciska misę do serca, słychać pukanie do drzwi.) Ktoś idzie!... (Składa żywo misę do kryjówki, zasłania otwór. Słychać znów kołatanie.) Kto może być na dworze w taką zamieć? Zapewne jacyś biedacy... niewarto im otwierać!...

(Siada i bierze sieć w rękę.)

HANS (z po za drzwi). Otwierajże Barbaro, to my!...

BARBARA (wstając żywo). Przewoźnicy z Wezery?

SCENA II.

BARBARA, HANS, PRZEWOŹNICY.

HANS. My sami!

BARBARA. I cóż was do mnie przyprowadza?

HANS. Schadzka umówiona. Karl poszedł po puste beczki do Kassel, kazał nam czekać tu, aż ostatni dzwon uderzy na Anioł Pański. Dzwony umilkły dawno. (Spogląda w głąb' przez drzwi otwarte) ale Karl nie przybywa!

BARBARA. Znam ja Karla. Skoro wam naznaczył u mnie miejsce schadzki, snać ma coś ważnego do powiedzenia... cierpliwości... przybędzie! Tymczasem napijcie się wina.

(Stawia szklanki i butelkę na stole.)

HANS. Dzięki Barbaro, ale nie skosztujem wina twego, aż Karl będzie pomiędzy nami.

SCENA III.

Ciż sami, KARL.

KARL. A więc w górę szklenicę! (Bierze szklankę ze stołu.) Zdrowie twoje Barbaro!

(Piją.)

HANS. A teraz — mówże Karl, co tam nowego?

KARL. Oto słychać w Kassel, że nowy elektor hanowerski ma przepędzić jesień w Münden. Łowy jutro się otwierają. Miał przyjechać dziś rano.

HANS. I cóż nas to obchodzi?

KARL. Ależ i bardzo nawet! Stary elektor oddał nam zupełnie prawo do Wezery? Zechce-li nowy uczynić nam tę łaskę?

BARBARA (podnosząc ramiona). Co, i ty pytasz o to? Czyżeś zapomniał, że przewoźnicy z Münden należą do cechu *gildy* i że *gilda* posiada wyłączny przywilej panowania nad rzeką! *gilda* potężną jest mój Karlu!... Jam stara, ale ona starsza jeszcze ode mnie i przysięgam, że dopóki żyć będę, *gilda* zostanie królową Wezery! (Słychać głośny świst pary.) Co to jest?

KARL (niedbale). Ha, poznaję ten świst — to Colbert!

BARBARA. Colbert?

KARL. Tak się nazywa statek co go spotkołem w Kassel. Miał się puścić z biegiem Fuldy i wpłynąć na Wezerę, potem ruszyć do Bremy. A ponieważ tu w Münden Fulda łączy się Werrą i obie razem tworzą Wezerę, Colbert musi koniecznie zatrzymać się w Münden, aby zapłacić prawo przewozu i otrzymać pozwolenie na dalszą drogę. Otóż więc Colbert stanął w przystani...

BARBARA (zacierając ręce). Statek?... podróżni?... może dzień coś przyniesie!

KARL. Ba! nie wierzę ja temu!... (Pogardliwie.) Statek bez żagli i bez wiosła... trudnoż mu jakoś ufać.

HANS. Bez żagli i bez wiosła?... a i cóż go porusza?

KARL. Koło.

HANS. Dobrze... ale co wprawia koło do ruchu?

KARL. Alboż ja wiem? Widziałem tylko ogromną rurę sterczącą w pośród statku; dym wybiega z niej jak z komina.

HANS. Chyba to statek jakiego czarownika; (śmieje się) snać urządził w nim kuchnię.

BARBARA (na stronie). Coś mi szepcze, że ten tajemniczy statek ma ładunek nielada. (Głośno.) Bracia cechowi! pamiętajcie, że nie nowy elektor jest tu panem, ale wy!... Gilda nadaje wam prawo, odmówienia przewozu obcym statkom i pozwala wam przetrząsnąć do gruntu każdy statek podejrzany. Czy rozumiecie?

WSZYSCY. Tak, tak... hejże na Colberta!

BARBARA (tajemniczo). Cicho... bez krzyku, bez gwałtu! (Do Karla i Hansa.) Karl i ty Hans, zbliżcie się znienacka do Colberta, przetrząśnijcież go pilnie. (Do przewoźników.) A wy pod pozorem zarzucenia sieci w rzekę, nie spuszczajcie go z oczu... patrzcie dobrze... kiedy właściciel statku wysiądzie na ląd, aby otrzymać od burmistrza pozwolenie na dalszą drogę, wtedy wypada wam złupić Colberta (Otwiera drzwi na prawo.) Przynieście tu do ogrodu całą zdobycz. Idźcież tędy, małą steczką wiodącą do rzeki... Nikt was nie zobaczy... Ostrożnie tylko!...

(Przewoźnicy wychodzą na prawo.)

SCENA IV.

BARBARA (sama). Dla nich statek, dla mnie właściciel statku. (Słychać świstanie wiatru.) Wicher się wzmaga, właściciel będzie zmuszony wstąpić tu i rozgrzać się arakiem.

(Zaciera ręce.)

SCENA V.

BARBARA, DYONIZY PAPIN, BENIAMINA.

(Dyonizy Papin odziany w zszarzaną i podartą suknię. Beniamina wspiera się na jego ramieniu.)

DYONIZY (do Barbary). Pani!...

BARBARA (obracając się nagle). Co?

DYONIZY (postępując krok naprzód). Czy Pani jesteś gospodynią w tym domu?

BARBARA (patrząc na nich z góry). Żebracy?... Otóż to skutek drzwi roztwartych. Precz mi ztąd obdartusy.

DYONIZY (słodko). Nie jesteśmy żebrakami, moja pani!... ale zimno na dworze, moja biedna córka taka słaba... prosimy o gościnność!

BARBARA. Nie masz miejsca dla takich włóczęgów w moim zajezdnym domu.

BENIAMINA. Włóczęga! on, mój ojciec? pani, gdybyś wiedziała!... Oh drogi ojcze!...

(Osuwa się na ramię Dyonizego.)

BARBARA. Nie jesteś jak widzę bardzo silną... a chorych my wcale nie lubimy.

DYONIZY. Córka moja w rzeczy samej bardzo delikatna, zimny wiatr, rozdziera jej piersi... pozwól jej pani odpocząć trochę w tym fotelu... proszę usilnie o to.

BARBARA (usuwając fotel w którym siąść miała Beniamina). A ja proszę was odejść... (Ociera fotel z kurzu fartuchem.) Siadać w fotelu! (Podnosi głos.) Ten fotel czeka na podróżnika, tak bogatego jak wy jesteście ubodzy.

DYONIZY (do Beniaminy). A więc moje dziecię, skoro nas tu nie chcą, idźmy zakołatać w inne wrota.

BARBARA. Tak, idźcie sobie gdzie indziej! a ja przyjmę właściciela statku, co chodzi sam jak mówią.

DYONIZY (obracając się żywo). Statku co chodzi sam, powiadasz pani?

BARBARA. Skoro chodzi bez żagli i bez wioseł...

DYONIZY. Chcesz pani mówić o Colbercie?

BARBARA. Tak jest, no i cóż dalej?

DYONIZY. Co dalej?... Otóż wynalazcą, właścicielem, panem Colberta jestem ja!

BARBARA (z powątpiewaniem). Być-że to może?

DYONIZY (z prostotą). Nieinaczej! jestem Dyonizy Papin, a oto Beniamina, ukochana córka moja!

BARBARA (dotykając jego odzieży z nieufnością). Co?... (Na stronie) Zresztą może tak czyni jak ja, odziewa się w łachmany, aby ukryć bogactwo swoje.... (Głośno.) Czy wiele wart pieniędzy wasz statek? hę?

DYONIZY (z prostotą). To skarb nieoceniony.

BARBARA (na stronie). Pełen złota?... domyślałam się tego. (Przysuwając fotel). Panno Beniamino, proszę usiąść, odpocznij sobie. (Beniamina siada.) Zimno panience, drżysz... dorzucę drew na komin, to się rozgrzejesz! (Rzuca naręcz drzewa.) A jeżeliś głodna, ot szynka i chleb świeży.

(Kładzie szynkę i chleb na stole.)

DYONIZY. Nie potrzeba nic... dziękujemy...

BARBARA. A to dlaczego?

DYONIZY. Nie mamy czem zapłacić.

BARBARA. Jakto, nie macie czem zapłacić? A złoto w waszym statku?

DYONIZY. W moim statku nie ma wcale złota.

BARBARA. A więc srebro?

DYONIZY. Bynajmniej.

BARBARA. I cóż w nim jest?

DYONIZY. Para...

BARBARA. Jakto para? (Porusza ramionami.) Dym?... I to ma być skarbem? (Zdejmuje ze stołu szynkę i chleb.) Nie dla was mój chleb i moja szynka!...

DYONIZY (do Beniaminy). Biedne dziecię!

BENIAMINA. Jam wcale niegłodna, nie troszcz się ojcze drogi. Podaj mi suknię twoją.

DYONIZY. Suknię?

BENIAMINA. Tak jest, cała podarta. Masz iść do burmistrza, nie możesz tak się pokazać przed nim. (Pomaga ojcu do zdjęcia sukni.) Coby on pomyślał o tobie! (Siada i naprawia dziurę. Słabnącym głosem.) O mój Boże! (Na stronie.) Jak mi słabo!

DYONIZY. Biedna... ty cierpisz?

BENIAMINA (przemagając się gwałtem). To nic... już przeszło.

DYONIZY. O nie! ja widzę że cierpisz. Brak ci siły do pracy... Gdyby pani była tak łaskawa...

(Patrzy na Barbarę.)

BARBARA. Ja mam naprawiać te łachmany? czy tak? Nic darmo mój człowieku! Jeśli twoja Beniamina chce łatać moje sieci, zaszyję dziury twoje... Inaczej nic! (Do Beniaminy.) Wolisz twoją igiełkę niż moją... wszak prawda? A więc każdy do swojej roboty.

(Siada i naprawia sieć, obracając się plecyma do Beniaminy. Beniamina pracuje z wysileniem, zatrzymując się co chwila.)

DYONIZY (do Beniaminy, która ociera łzy). Smutna jesteś, płaczesz biedaczko? i czegóż ty płaczesz? powiedz mi...

BENIAMINA. Myślę o domku naszym w Marburgu. Tak daleko do niego. Marburg to moja druga ojczyzna... przywiozłeś mnie tam maleńką, gdyś był zmuszony oddalić się z Francyi... (wzdycha) a więc ojcze, mnie żal Marburga.

DYONIZY. I żal ci Hermana... nieprawdaż moje dziecię?

BENIAMINA. Herman był ulubionym ucz-

niem twoim ojcze drogi... Tyś mnie nauczył kochać go.

DYONIZY. Nie wstydź się miłości twojej Beniamino, Herman godzień twojego serca. On będzie mężem twoim w dniu, kiedy ja odmłodnieję szczęściem i dumą.

BENIAMINA. Tak, ale czy dzień taki nadejdzie? Pan Van Bremer znajduje mnie za ubogą na żonę dla swojego syna. Będziemyż kiedyś dosyć bogaci, aby zezwolił na ten związek?

DYONIZY. Zapomniałaś że powodzenie Colberta zapewni majątek mi, a zarazem i chwałę. Podaj mi suknię, dziecię; pójdę czemprędzej do burmistrza o upoważnienie na przewóz. (Kładzie suknię.) Skoro przybędę do Bremy, zrozumieją tam mój wynalazek i przyjdzie koniec naszym cierpieniom, naszej nędzy.

BENIAMINA (usiłując powstać). A zatem idźmy do burmistrza!

DYONIZY. O! ty nie możesz mi towarzyszyć. Takaś blada, ty cierpisz biedne dziecię. (Beniamina pada na krzesło.) Czekaj tu, dopóki nie wrócę.

BENIAMINA. Przynieś tylko ojcze dobrą wieść, że możemy popłynąć dalej, a zobaczysz rumieńce na mej twarzy.

DYONIZY. O! ja śpiesznie powrócę!

(Wychodzi.)

(*D. c. n.*)

Ostatnie listki.

Dmą już ponure wichry jesieni...
Wkoło tak blado, mgławo i smutno!
Korony dębów, w miejsce zieleni,
Przybrały czarną szatę pokutną.

Ptaki w cieplejsze uchodzą kraje,
Nucąc żałośnie pieśń pożegnania;
Osamotnione błonia i gaje —
Łzawa pomroka tuli, osłania.

I mnie ból jakiś piersi przenika,
Próżno ku niebu wznoszę źrenice;
Nigdzie wesela — nigdzie promyka...
Żeby odegnać z duszy tęsknicę!

Gdzie dawniej lube tchnienie kwiateczka,
Poiło serce — dziś pustka wieje!
I suche leżą biedne listeczka,
Niby zamarłe jakieś nadzieje...

Z czołem schylonem, stoję nad niemi,
W ciszy złowrogiej — i dumam sobie:
Dlaczego smutki i szczęścia ziemi,
Zawsze się zawsze kończą na grobie?

Listki te wprawdzie, odżyją z wiosną,
Gdy słonko Boże jaśniej zaświeci,
I druh skowronek z wieścią radosną,
Znowu napowrót do nas przyleci!

Ale gdy cienie duszę pogrążą...
Próżno już wtedy szukać spokoju!
Póki się pasma dni życia wiążą,
Pić trzeba gorzki kielich napoju.

Bronisława Kordzikowska

Dobro-Wola.

Z OPOWIADANIA REZYDENTA.

POWIEŚĆ.

Napisała

ZBIGNIEWA ZMORSKA.

(Dalszy ciąg.)

Jenerałowa uważała ciągle Stefana jako zdecydowanego konkurenta. Siedząc w fotelu snuła dalej ulubione plany i obmyślając już ślubną suknię swej Soni, dziwiła się, dlaczego Mirski dotąd się nie oświadcza? Widząc coraz większą dobroć dla niego i uprzejmość Kseni, tłumaczyła ją sobie jak najlepiej i nieraz gawędząc ze mną, żartowała z mych dawnych obaw i wątpliwości, co do jej zajęcia się Stefanem.

— A co mój mądry panie — powtarzała mi często — w cóż się obróciły wszystkie twoje troski i obawy, co do serca Kseni? Moja dzieweczka widocznie staje się dla Stefana coraz łaskawszą: są z sobą jak nie można lepiej sobie życzyć. Uważam też wogóle wielką w niej zmianę, staje się coraz poważniejszą, nabiera coraz więcej słodyczy i tego czegoś kobiecego, czego jej właśnie dotąd brakowało, słowem zaczyna wyrabiać się.

Biednej staruszce ani przez myśl nie przeszło, aby tę zmianę przypisać uczuciu innemu. Obecność ciągła Mirskiego stanowiła wyborny parawan dla zabiegów malarza. Obaj młodzi ludzie zachowywali się względem siebie z największemi względami salonowemi i choć obaj trzymali się od siebie bardzo zdaleka, trudno było uważać ich za rywali i dopatrzyć cienia choćby niechęci pomiędzy nimi. Widocznie obaj unikali wszystkiego coby mogło ściągnąć na nich zarzut wzajemnej nienawiści. Mirski zachowywał się chłodno i całem swem postępowaniem okazywał jawnie, że nie każdego nienawidzieć warto — Eugeniusza taktyka była dla mnie prawdziwą zagadką. — Czy kochał? Nie wiem, ale widocznem było, że miłości Kseni pożądał gorąco i starał się ją pozyskać całemi siłami. Pomimo to wszystko, zdawało się, że bywanie Stefana w domu Jenerałowej dogadza widokom jego: wiedział doskonale, że tak nasza pani, jak dom cały i ludzie obcy uważają inżyniera za jedynego stanowczego konkurenta do ręki Kseni i nie starał się też wcale wysuwać na pierwszy plan z zamiarami swemi okazując je jawnie i otwarcie. Przeciwnie, uczucia swoje krył bardzo zręcznie i dobrowolnie cofał się w cień po za postać Stefana stojącą wobec świata na pierwszym planie. Nigdy też niczem nie okazał, aby przytomność rywala przykrą mu była: był dla niego uprzedzająco grzecznym, a do Jenerałowej i nas wszystkich, wyrażał się o nim jako o blizkim narzeczonym Ukrainki. Naturalnie, że postępowanie takie mogło nawet mniej dobroduszną osobę jak Jenerałowa w błąd wprawić. Gdyby nie jakieś instynktowe przeczucie grożącego mej ukochanej sierocie niebezpieczeństwa, które przy pierwszem widzeniu na balu malarza pozwoliło mi uchwycić niewidzialną nitkę tej intrygi miłosnej, byłbym może i ja zagrzązł w tej sztucznej plątaninie i uwierzył bezinteresowności bywania w domu Eugeniusza. Ale uchwyciwszy koniec tej nici, trzymałem ją odtąd silnie i bacznie w dłoni, a im więcej postępowanie artysty stawało się ciemnem i krętem, tem sumienniej pilnowałem moją fantastyczną, pełną ognia i życia, a kochającą coraz silniej ukrainkę.

Gdybym mniej kochał Ksenię i dola jej nie tyle mnie obchodziła, to jako dla obojętnego świadka, stosunek ten mógł stanowić nadzwyczaj zajmujący przedmiot do studyi. Oddawna już, od czasu jeszcze mej młodości, istniało dla mnie pytanie nigdy nierozwiązane: dlaczego kobieta postawiona pomiędzy dwoma ludźmi, z których jeden będzie człowiekiem rozumnym, dobrym, szlachetnym i kochającym, drugi zaś letkiewiczem, blagerem, komedyantem, pokocha z pewnością gorszego? Przez całe życie nie żeniąc się, studyowałem zdaleka kobiety i zdobyłem razem z siwemi włosami przekonanie, że na sto kobiet, jedna wybierze dobrze i pokocha człowieka godnego siebie, dziewięćdziesiąt dziewięć kochać będzie: pływaczy, szulerów, pijaków, karyerowiczów, bezcharakterowych, bezwyznaniowych, nicponiów. Dlaczego tak jest a nie inaczej, na to trudna odpowiedź. Tłomaczyłem sobie zawsze, że rzecz ta leży w wychowaniu i dziedzicznie przechodzi z pokolenia w pokolenie. Kobiety, chowają kobiety, przekazując sobie swe przekonania i upodobania, trzebaby zatem kształcić inaczej i przerobić kilka pokoleń, aby rzecz zmienić. Tymczasem miłość Kseni przekonała mnie inaczej. Nikt jej nie chował, chowała się sama i to pomiędzy uczonym ojcem i starym kozakiem, zdawaćby się mogło, że taka prosta, zdrowa natura uchronić się była powinna instynktowo od niebezpieczeństwa i uczynić wybór dobry. Stało się przecież inaczej! Postawiona pomiędzy dwoma ludźmi tak różnemi od siebie, bez namysłu oddała serce temu, który zręczniej potrafił olśnić jej oczy światowym polorem i oplątał jej duszę jakimś niewidzialnym czarem pseudopoezyi i sztuki.

Patrząc na ten fakt, pomyślałem sobie, że chyba rzecz leży tu w złym rozwoju umysłowym. Gdyby kobietę nauczono myśléć, gdyby przywykła od dziecka zdawać sobie z każdego czynu swego lub uczucia sprawę, musiałaby przecież zapytać się siebie: co kocha w człowieku wybranym? Musiałaby przyjrzéć się dobrze ukochanemu, osądzić czy go kochać warto, musiałaby uniknąć niejednego zawodu, niejednego rozbicia moralnego. Zarzucą mi może niejedni, że takie uczucie refleksyjne nie może być miłością prawdziwą? Podług ogółu ludzi, miłość powinna być uczuciem bezwiednem, dalekiem od rozumowań wszelkich, przychodzącem nagle i niespodziewanie, niedającem się wytłomaczyć, ślepem, głuchem, bezmyślnem. Są tacy, którzy wierzą, że zakochać się można od pierwszego spojrzenia, twierdzą nawet, że miłość taka jest najsilniejszą i najlepszą. Co do mnie, wyznaję szczerze, że uczucia takiego nie rozumiem. Być może, że się mylę; a moja przyjaciółka twierdzi zawsze, że pozostałem starym kawalerem dlatego, że szukałem miłości takiej, jakiej na świecie nie ma. To przecież pewna, że nie chciałbym być kochanym taką miłością zażgniętą jednem spojrzeniem oczu. Uczucie takie niczem nieuzasadnione, uważam zawsze jako pole najlepsze do zbierania zawodów, trosk i nieszczęść całego życia.

Patrząc na Ksenię żałowałem nieraz, że jak mówiła Jenerałowa, to cudowne dziecko dostało się w nasze ręce jako materyał już urobiony w stałą formę. Gdyby była przybyła do nas o lat kilka wcześniej, a przynajmniej, gdyby nasza pani nie była się tak spieszyła z ukazaniem jej światu, byłbym niezawodnie starał się rozwinąć ten umysł niewymownie inteligentny, nauczył go myśléć, rozróżniać złe od dobrego, i oceniać rzeczywistą wartość człowieka. Ale poszło wszystko zaprędko, nie miałem czasu ukształcić tej młodej główki podług mego widzenia i pierwsze uczucie zasta-

ło ją najzupełniej naiwną, nieświadomą, nieprzygotowaną, dającą się olśnić pierwszym lepszym fałszywym błaskiem i lecącą na niego oślep, jak ćma w światło świecy. Dzisiaj czynić jej jakiekolwiek uwagi, było już za późno, kochała i była zbyt samowolną, aby w tak drażliwej kwestyi pozwoliła kierować sobą i narzucać sobie czyjekolwiek zdanie. Byłem przekonany, że gdyby tylko kto z nas ośmielił się nakładać jej sercu pęta i krępować jej wolę, uczucie które dotąd płonęło silnym, ale spokojnym płomieniem, zamieniłoby się w jednej chwili w wulkan i wybuchło szerokim potokiem gorącej lawy, któregoby nikt już opanować i ugasić nie zdołał.

W końcu czerwca zdrowie Jenerałowej znowu się nieco pogorszyło. Do osłabienia całego organizmu przybyły jeszcze bóle jakieś reumatyczne, w prawej ręce i nodze i nasza ukochana chora musiała znów powrócić na dni kilka do łóżka i zamknąć się w swym pokoju na czas pewien, aby uniknąć wszelkich zmian powietrza. Naturalnie, że przy takim stanie rzeczy panny nasze tem więcej pozostawione były same sobie, gdyż i panna Bećwińska nie opuszczając pokoju chorej, nie udzielała się towarzystwu prawie wcale, a ksiądz Osowicki przy coraz zwiększających się upałach, dnie całe przepędzał na słodkiej drzemce przy ciemnym teraz i opuszczonym kominku. Cała więc opieka i odpowiedzialność spadły teraz na moją głowę. O ile mogłem starałem się wywiązywać jak najlepiej ze swego zadania — stałem się prawie nieodstępnym towarzyszem dziewcząt, chodziłem z niemi na polowania, rysowałem, czytałem, śmiałem się z niemi, grałem na fortepianie, a w pole do robót wyjeżdżałem tylko albo bardzo rano kiedy w pałacu wszystko jeszcze spało, albo nad wieczorem kiedy przyjeżdżał Mirski i zdawszy mu opiekę przy pannach, mogłem uwolnić się na jakąś chwilę. Zato kiedy przyjeżdżał Skrzyński, byłem prawdziwie na służbie. Wówczas pomimo nawet obecności naszego poważnego inżeniera, nie wychodziłem prawie z pokoju, starałem się ani na chwilę nie pozostawić Kseni z samym malarzem. Zdawało mi się, że tym sposobem potrafię niedopuścić do ich ostatecznego porozumienia się z sobą. Łudziłem się jeszcze, że dopóki to nie nastąpi, zajdzie jeszcze może coś takiego co stosunek ten przerwie niepowrotnie. Zdrowie bowiem młodego kolegi Eugeniusza znacznie się polepszyło i słyszałem, że zamierza przedsięwziąć z nim wycieczkę do Szwajcaryi. Spodziewałem się więc, że Skrzyński nie opuści przyjaciela i jak przyjechał tak razem z nim porzuci naszą okolicę. Stało się przecież zupełnie inaczej; pokazało się, że żadne usiłowania ani kombinacye najmędrsze nie zdołają stanąć na drodze dwom kochającem się sercom.

Dnia pewnego siedzieliśmy w bilardowym pokoju, który był ze wszystkich najjaśniejszy i z tego powodu odbywaliśmy w nim nasze posiedzenia rysunkowo-malarskie. Skrzyński przyjechał zaraz po obiedzie, a że około godziny czwartej nadciągnęła z zachodu chmura ciężka z wichrem i grzmotami i ulewa spadła tak gwałtowna, że choć około wieczora niebo się wyjaśniło i słonko ostatniemi promieniami wesoło żegnało ziemię, to błoto i wody stojące wszędzie nie pozwalały myśléć o wydaleniu się z domu.

Rozłożyliśmy więc nasze przybory rysunkowe, i przy szerokiem weneckiem oknie zajęliśmy się, pod dyrekcyą Eugeniusza, kopiowaniem jakiegoś rysunku, który nam malarz za wzór postawił.

Mirski niewiadomo dlaczego dnia tego nie przybył. Domyślaliśmy się, że niezwykła ulewa zatrzymała go w domu i właśnie mówiliśmy o tem, gdy do pokoju wbiegł Antoni, oznajmiając mi, że stangret Grzegorz wzywa mnie w podwórze, gdzie koń jakiś z młodzieży, wyrwawszy się ze stajni i wpadłszy pomiędzy narzędzia gospodarcze, padł na ostrze jakiegoś radła, czy pługa i skaleczył się szkaradnie.

Chwyciłem za czapkę i wybiegłem z pokoju, zanim przecież udałem się na podwórze, wpadłem jeszcze do błękitnego salonu, a zastawszy tam księdza Osowickiego pogrążonego w swej zwykłej drzemce, rozbudziłem go prosząc, aby udał się do bilardowej sali i na chwilę zastąpił tam me miejsce.

Źrebaka w istocie znalazłem mocno okaleczonego i trzeba było ranę zaszywać, a następnie obłożywszy kompresami, przeprowadzić do osobnej przeznaczonej dla chorych kony stajni. Wszystko to zatrzymało mnie w stajni tak długo, że kiedy ukończywszy operacyą powracałem z podwórza do domu, słońce schowało się już oddawna za widnokrąg, księżyc wypłynął z po za boru siwiejącego zdaleka i gwiazdy jedna po drugiej zapalać się poczęły na niebie. Licząc na obecność przy paniach księdza Osowickiego, nie spieszyłem się bynajmniej z powrotem do towarzystwa i zanim udałem się do bilardowej sali, wstąpiłem jeszcze w przechodzie do pokoi Jenerałowej, aby zawiadomić ją o wypadku zaszłym ze skarogniadą Gemzą, którą nasza pani uważała zawsze za najlepszą z młodzieży i nazywała ozdobą naszego stada i potem dopiero udałem się na drugą stronę domu, gdzie, jak sądziłem, zastanę już światło pozapalane i towarzystwo całe zebrane, jak zwykle o tej porze. Tymczasem spostrzegłem z podziwem, że cały główny korpus pałacu, jest jeszcze pogrążony w najgrubszych cieniach, a przechodząc przez błękitny salon, spostrzegłem księdza kapelana drzemiącego najspokojniej na swem miejscu, tak jak go pozostawiłem przy ciemnym kominku. Zapytałem go z niezadowoleniem dlaczego jest tutaj, kiedy prosiłem go, aby udał się do panien i miejsce tam moje zastąpił? Ksiądz nagle rozbudzony ze snu, począł mi bez ładu i składu prawić jakieś tłomaczenie, z którego pokazało się, że biedny staruszek skoro tylko zamknąłem drzwi za sobą, opanowany przez drzemkę, zasnął nanowo zapomniawszy o mem poleceniu najzupełniej.

— Ależ to nic nie szkodzi — kończył swoje tłomaczenie — Skrzyński to taki gość częsty, ręczę panu, że nie będzie miał żalu żadnego o to, że pozostawiliśmy go na chwilkę samego w towarzystwie panien, o które z pewnością więcej mu chodzi, niż o nas starych.

Nie słuchając już dalszych dowodzeń kapelana, wyszedłem do głównego salonu, który bezpośrednio już przytykał do bilardowej sali. I tu także ciemno było zupełnie i skoro tylko otworzyłem drzwi, usłyszałem z drugiego pokoju śpiew Kseni. Sądząc że panna Skarzyńska jest tam razem z Ukrainką, a niechcąc jej przerywać śpiewu, który teraz bardzo rzadko słyszeliśmy w jej ustach, przeszedłem salon ostrożnie po dywanie głuszącym me kroki i stanąłem w drzwiach cicho. Było już tak szaro w pokojach, że niedostrzeżono mej obecności, a ja po chwili dopiero, rozpatrzywszy się spostrzegłem, że Ksenia z Eugeniuszem są najzupełniej sami.

Dziewczyna stała w otwartem oknie, oparta obiema rękami o ramę okna i patrząc z zadumą na daleki, gubiący się w cieniach wieczornych horyzont, nuciła półgłosem dumkę z „Zamku Kaniowskiego":

— „Wypłyń, wypłyń z za obłoku..."

Eugeniusz stał za nią nieco w głębi pokoju i o ile z profilu jego, obróconego do mnie pod światło, mogłem uważać, nie spuszczał oka ze smukłej postaci Ukrainki.

Kiedy już ostatnie: —„Ho hop! ho hop! wzywam ciebie!" — ucichło, dziewczyna zwróciła się do niego swobodnie:

— Czy widzi pan tę wielką jasną gwiazdę pod lasem? — rzekła wskazując mu ruchem głowy jakiś punkt nieba błyszczącego już miliardami migocących światełek.—Z naszego hutoru pod tę porę widać ją równie dobrze jak z tego okna, zdaje się tylko, że od nas jest ona więcej posunięta ku wschodniej stronie i wyżej wschodzi na niebiosa. Ile razy widzę tę gwiazdę przypomina mi się zaraz moja chata stepowa i te wieczory przesiedziane na przyżbie obok Hordija i Warwary, jak słuchałam ich opowiadań o latawcach, żyjących gwiazdach i różnych tajemniczych duchach zaludniających niebieskie przestwory, których oko ludzkie widzieć nigdy nie zdoła, a których istnienie pozostaje przecież w bezpośrednim związku z życiem ludzkiem na ziemi. Według pojęcia naszego ludu, każdy śmiertelnik pracujący tu krwawo na kawałek czarnego chleba, posiada tam w górze gwiazdę swą własną, której losy z losami jego związane są mocą tajemną, niczem nieprzepartą, fatalistyczną. Nic tu nie pomoże ani praca, ani walka, ni wola, a szczęście lub nieszczęście jego zależy od kręgów i promieni, jakie zakreśla fatalistyczna gwiazda na firmamencie.

— Do pewnego stopnia pani, lud ma słuszność i możnaby powiedzieć, że w tem podaniu leży ukryta myśl głęboka i prawdziwa — odrzekł zwolna Eugeniusz. — Któryż człowiek nie posiada jakiejś gwiazdy przewodniej, któraby prowadziła go przez życie? Któż z nas nie wynalazł sobie jakiegoś ideału, do którego przywiązał swe życie? Wiadomo też, że im jaśniejsza jest ta gwiazda, tem jaśniejszem jest życie człowieka, im idea jego szersze zakreśla koło, tem szerszym jest okres jego działalności i czynu.

Ksenia stała teraz obrócona bokiem do okna i oparłszy głowę i złożone ręce o ramę jego, patrzała na malarza z jakiemś zamyśleniem.

— Zdaje mi się, że najjaśniejsze gwiazdy przyświecają chyba waszej doli panowie artyści — rzekła patrząc na niego swemi promiennemi oczyma. Jakże jasne muszą być wasze ideały, jeśli mają jak owa Muza w cyklusie Grotgera przeprowadzać was przez życie. Chciałabym wiedzieć czy masz pan określony już jasno swój ideał i czy stanowczo i wytrwale dążysz ku niemu, czy też dopiero widujesz go w snach swoich i szukasz go gdzieś w mglistych przestworach?

— Widzę go pani — odparł poważnie głosem lekko wzruszonym, patrząc z zachwytem w jasną twarz dziewczęcia.

Zdawało się, że w pierwszej chwili Ksenia nie zrozumiała słów artysty, bo stała przed nim spokojna i uśmiechnięta, patrząc na niego półrozmarzona, półfiglarna i dopiero po chwili znalazła snać w oczach jego jakiś komentarz, bo spoważniała nagle i spuściła zwolna głowę.

Eugeniusz zbliżył się do niej i położył lekko rękę na jej rączce opartej o okno.

— Czy chcesz pani być moją gwiazdą? — zapytał po chwili głosem w którym słychać było ude-

rzenia jego serca — czy chcesz być zawsze przy mnie i ze mną, aby prowadzić mnie i wskazywać mi drogę w krainie ideału i sztuki?

Ukrainka podniosła jasnowłosą główkę i spojrzała mu prosto w twarz błyszczącemi oczyma.

— Chcę! — odparła bez namysłu, głosem jak śpiew słodkim i melodyjnym.

Eugeniusz ujął jej drugą rączkę, pochylił się ku niej i zaczął mówić jej coś głosem przyciszonym, wibrującym namiętnie. Wstrzymując prawie oddech starałem się uchwycić uchem coś z cichego jego szeptu, kiedy nagle za memi plecyma zabłysło mocne światło i odezwał się głos Antoniego, który wnosząc lampy wzywał mnie do Jenerałowej. Wepchnąłem go ze światłem do bilardowej sali i rozkazałem aby natychmiast poprosił pannę Skarzyńską do towarzystwa, a sam rad nierad, udałem się do naszej pani.

Kiedy wszedłem do pokoju Jenerałowej, zastałem ją z torbą pocztową na kolanach. Była to właśnie godzina w której poczta przechodząca kilka razy na dzień około wrót naszych, oddawała korespondencye i pisma przeznaczone do Młynów, pomiędzy któremi dnia tego znajdowała się niespodzianka niezwykła, list od pani Heleny Dąbskiej, dalekiej krewnej nieboszczyka męża Jenerałowej, niezmiernie bogatej i światowej w całem znaczeniu tego słowa kobiety, która życie całe spędziła na podróżach za granicą a od lat kilku wraz z jedyną córką zamieszkała stale w Paryżu. Kuzynka ta, która wogóle bardzo rzadko komunikowała się z rodziną, a z Jenerałową szczególniej dla wprost przeciwnych zasad i poglądów, nie znosiła się prawie nigdy, dziś po wielu latach milczenia i zupełnie przerwanych stosunków, odezwała się niespodziewanie, donosząc naszej pani, że córka jej Eulalia, powszechnie Lalką zwana, od pewnego czasu mocno zapadła na zdrowiu, a że najlepsi lekarze paryzcy, których rady zasięgano, wszyscy zgodzili się na jedno, twierdząc, że wątłej i nerwowo osłabionej panience, potrzeba koniecznie powietrza, ruchu i chłodniejszego klimatu i że powrót do kraju najlepszy wpływ wywarłby na siły pacyentki, dlatego zapytuje, czy najukochańsza kuzynka nie miałaby nic przeciw temu, aby przywiozła córkę do Młynów, i na czas pewien pozostawiła ją macierzyńskiej jej opiece, której jak wiadomo, nie odmawia żadnemu nieszczęśliwemu, a pod którą, przy powietrzu i różnych wiejskich przyjemnościach, w jakie dom jej obfituje, odzyskałaby z pewnością w krótkim czasie zdrowie i siły. List zakończony był tysiącem najpiękniejszych komplementów i prośbą o odpowiedź jaknajspiesznieiszą, jeśli to być może pocztą odwrotną, gdyż rzecz jest niecierpiącą zwłoki i tak córka, jak ona, z utęsknieniem oczekiwać będą wiadomości.

Jenerałowa po przeczytaniu tej prośby siedziała przez kwadrans zamyślona i milcząca. Nie sympatyzowała nigdy zbytecznie z mężowską kuzynką i nie taiła się z tem wcale, że przyjazd ten wielce jej nie był na rękę. W pierwszej nawet chwili chciała odpisać odmownie, tłomacząc się własną chorobą i koniecznością spokoju, jaki lekarze zalecają jej najusilniej. Po kwadransie przecież wrodzona dobroć jej serca, wzięła górę nad chwilową niechęcią, zaczęła przekonywać się sama, że nie godzi się odmawiać potrzebującym pomocy; że młoda Eulalia, o którą tu głównie chodzi, może być najlepszą dziewczynką i niepodobna aby stała się ofiarą skazaną na zasuszenie w murach paryzkich dlatego tylko, że jest córką kobiety nieco krzywych zasad i wykoszlawionej głowy, że nareszcie, jest to przecież siostrzenica nieboszczyka jej męża i obowiązek nakazuje przyjąć ją w dom na te kilka tygodni. Kiedy więc wezwany przez Antoniego stawiłem się w buduarze staruszki, prosiła mnie z rozjaśnioną już zupełnie twarzą, abym w jej imieniu odpisał natychmiast pani Ewelinie, z uprzejmem zapewnieniem, że przyjazdu ich z radością i przyjemnością oczekiwać będzie. Następnie, usadziwszy mnie przy swem biórku, dyktowała mniej więcej treść listu, stylem cokolwiek staroświeckim, odpowiadając systematycznie na każdy paragraf pisma pani Eweliny wyrazami pełnemi grzeczności i kwiecistej uprzejmości.

Korespondencya ta zatrzymała mnie przy boku Jenerałowej blizko godzinę i dopiero kiedy oznajmiono, że wieczerza na stole, zdołałem się uwolnić i powrócić do towarzystwa.

(D. c. n.)

DO ALGIERU
przez Hiszpanią i Maroko.

Przez

T. VERNES d'ARLANDES.

Przekład

J. Belejowskiej.

(Dalszy ciąg.)

V.

TOLEDO.

Nie bez słuszności utrzymują, że koleje żelazne są wrogami pięknych malowniczych widoków; w Hiszpanii jednak stacye tak szczęśliwie są rozłożone, iż pociągi zatrzymują się właśnie w najpiękniejszych miejscowościach, zkąd można przyglądać się jużto pałacom i miastom stojącym zwykle na wzgórzach, jużto malowniczym widokom i krajobrazom.

Ze stacyi na którą przybyliśmy około godziny ósmej, ukazywały się wysokie mury Toledo, nadające mu pozór średniowiecznej fortecy. Różnomierne jej zarysy rysują się bardzo wyraźnie na tle nieba, a mocno odznaczające się cienie nadają jakieś olbrzymie rozmiary skale na którą wznosić się mamy. Jednakże wagony z łatwością dosięgają jej szczytu i samo tylko przebycie sławnego mostu d'Alcantara budzi pewne wrażenie, którego strzeże dość okazale przedstawiająca się wieżyca, tem większe obudzająca zajęcie, że jest to pierwszy jaki napotykamy pomnik arabski większego nieco znaczenia.

Przybyłem do Toledo z bardzo rozbudzoną wyobraźnią i w niezwykle poetycznem usposobieniu, lecz zaraz na wstępie do zajazdu zostałem jakby zimną wodą oblany. Wprawdzie gospodarz, któremu pochlebiało, że dałem mu pierwszeństwo nad innemi *casus de huespedes* starał się być nadzwyczaj uprzejmym i usłużnym, chciał dogadzać we wszystkiem, ale miał do rozporządzenia środki tak niedostateczne, iż niebawem przekonaliśmy się iż trzeba wyrzec się słodyczy cywilizacyi i pocieszać się tem jedynie że już jesteśmy w Toledo.

Noc była mroźna; tak nazwana sala jadalna, była to długa oszklona galerya, której okna źle się zamykały i zimne powietrze wdzierało się szparami. Kominka nie było, sprzętów mało i bardzo zniszczone. Pokój sypialny odpowiadał jej najzupełniej, drzwi nie można było zamknąć, tak że każdy przechodzący mógł doskonale widzieć co się w nim dzieje. Na domiar złego, nigdzie ani śladu stylu maurytańskiego, nic coby wspomnieniem wielkiej przeszłości osładzało nędzną teraźniejszość.

Nazajutrz wyszedłem bardzo rano, aby nacieszyć się widokiem Toledo, ale zamiast pięknego hiszpańskiego nieba, zobaczyłem mgłę tak grubą, iż wybrzeża Tamizy przyznaćby się do niej mogły.

Wązkie arabskie uliczki wydawały nam się jak posępne wilgotne korytarze, a drzwi domów z ich ozdobami z wystających żelaznych gwoździ, przypominały drzwi więzienne. Wkrótce jednak mgły opadły; stanąwszy na wyniesionym znacznie placu, ujrzałem piękną dolinę po której Tag wije się wężykowato jak szeroka wstęga a śnieżne szczyty oddalonych gór, stalowym błyszczały połyskiem. Wyniesienie na którem stałem, panuje nad rozległą okolicą; jest to orle gniazdo, z którego zerwał się Karol V marząc o panowaniu nad światem i myśląc tylko jakieby nowe podbić królestwo.

Dawniej jeszcze, z tejże wyżyny dobry król Alfons z przebitą ręką, zdobywszy Toledo, obliczał leżące po obu stronach rzeki wsie i miasta, które zdobyć postanowił.

Dziś, na miejscu dawnych meczetów, wznoszą się liczne kościoły i dzwonice, zawdzięczające byt swój temu dobremu królowi, który umiał prędko załatwiać się ze wszystkiem. Miasto i wsie: Talavera, Montalvo, Escalone, Alcala i wiele innych zamieszkane były przez Maurów; lecz gdy tylko król zdobył które, osiedlał w nich chrześcian, budował kościół i naturalnie dzwonicę, poczem ufortyfikowawszy wracał do Toledo. Oto jaką opowiadają tu o nim legendę:

„Dobry król wybrał na arcybiskupa niejakiego don Bernarda, człowieka bardzo świętobliwego, uczonego i cieszącego się najlepszą sławą. Nadał mu tytuł arcybiskupa Toledo i prymasa całej Hiszpanii.

„Uspokoiwszy kraj, król Alfons powierzył czasowo rządy królowej a sam postanowił objechać swoje królestwo. Najpierw udał się do Galicyi i jej okolic.

„Jak tylko odjechał, królowa zaczęła bardzo się kłopotać i dręczyć, nie o sprawy marnego świata, ale o zbawienie swej duszy. Gdy tak siedziała zadumana, wszedł arcybiskup, z czego korzystając, rzekła zaraz do niego:

— Don Bernardzie, powiedz co mam czynić? Cięży mi na sumieniu, że dawny nasz kościół w którym codziennie oddawano cześć Bogu i Naj. Pannie, został zamieniony na meczet. Czy jest jaki sposób aby go odebrać i poświęcić, nie ubliżając słowu króla, który darował go Maurom?

„Arcybiskup ukląkł, wzniósł oczy w niebo i odrzekł po krótkiej modlitwie:

— Odbierzmy go jak najśpieszniej Maurom, chodźby dziś jeszcze; nie wyrzekajmy się wiekuistego szczęścia, dla marnego doczesnego słowa. Przypuściwszy nawet iż król rozgniewa się tak mocno, iż zapragnie zemścić się i srodze nas ukarać, mniejsza o to; królowo poświęćmy nasze ciała dla ocalenia dusz.

„Jakoż tej zaraz nocy arcybiskup wszedł do meczetu, oczyścił go z wszelkich mahometańskich naleciałości, poświęcił i powrócił czci Bożej.

„Wtedy stroskani Maurowie, podali skargę do króla; król rozgniewał się nadzwyczaj, zagroził

surową karą królowej i kapłanowi i nie czekając wybrał się zaraz z powrotem do Toledo. Dowiedziawszy się o tem Maurowie, wyszli naprzeciw niego aż do Ollias, a gdy nadjechał padli przed nim na kolana i skrzyżowawszy ręce na piersiach, wołali:

— Łaski! łaski! dobry królu.

Król podniósł ich sam mówiąc:

— Bądźcie spokojni przyjaciele, do mnie należy wymierzyć wam sprawiedliwość. Ci co wyrządzili wam krzywdę, ubliżyli mojemu słowu, ale ukarzę ich tak srodze, iż dostatecznie będziecie pomszczeni.

Usłyszawszy to Maurowie wołali znowu:

— Łaski! łaski! dobry królu, nie wypuszczaj nas ze swej opieki. Jeźli zapragniesz pomsty, drogo ona nas kosztować będzie; bo ten kto dziś zabije królowę, jutro srodze pożałuje tego. Meczet zamieniony na kościół, zwrócony nam być nie może; przebacz więc, dobry królu, królowej i tym co go nam zabrali, a my od tej chwili wracamy ci słowo.

Usłyszawszy to, dobry król ucieszył się bardzo, podziękował Maurom i gniew go ominął" (*).

Lubię przy sposobności słuchać takich podań historycznych, w kilku wierszach streszczających charakter epoki, a które opowiedziane w właściwej chwili, przypominają przeszłość jakby znak jakiś który podróżny zostawił na przebytej drodze.

Zapuszczając się głębiej w prowincye zajmowane kiedyś przez Maurów, tak historya jak pozostałe pomniki świadczą jak wielką zawdzięczają im one pomyślność i doprawdy żałować przychodzi, że zostali z nich wygnani, tem więcej że następstwem tego było ogólne zubożenie po dziśdzień przygniatające Hiszpanią. Co tylko pozostało po Maurach, po dziśdzień zwraca na siebie uwagę. Styl pozostałych pomników zdradza cywilizacyą zupełnie odmienną od naszej; są one wszystkie nacechowane poezyą przeszłości i cudowną fantazyą Wschodu a błękit nieba służy im za ramy.

W Toledo liczne gmachy i wiele bardzo szczegółów nadają mu wybitną cechę arabskiego grodu. Gdy słońce pełnym zajaśniało blaskiem, udałem się na ulice starego miasta, pełne tajemniczości i cienia. Powozu tu nie zobaczy, bo uliczki te są tak wązkie, iż chyba taczkami jeździćby po nich można. W małych okienkach ukazują się niekiedy głowy krajowców, z nieufnością przyglądających się przybyszowi. Uliczki podnoszą się w górę, opuszczają się na dół, krzyżują, stykają lub rozchodzą, tworząc niekiedy dziwny kształt liter, a najczęściej X Y Z. Gdzie najmniej spodziewać się tego można, kończą się nagle lub dochodzą do jakiegoś małego placyku, otoczonego jakby ramą, malowniczemi ozdobami budowli wschodniej architektury. Wszystko tu mówi o społeczeństwie mającem tak różne od naszych upodobania, szukającem tajemniczości gdzie my domagamy się światła, dla którego rozmaitość była tem czem dla nas symetrya.

Przewodnik zaprowadził mnie do katedralnego kościoła. Fasada nie jest tak piękna jak katedry w Burgos, ale wnętrze zdobią bogate ażelowania i przewybornie wykończone rzeźby i ozdoby. Jest tu bardzo wiele posągów rozmaitej wielkości, tak religijnych jak światowych. Są archaniołowie i królowie, święci, zakonnicy i jenerałowie; bardzo umiejętnie porozmieszczani dla uwydatnienia całej piękności i bogactwa świątyni. Co prawda, pod tym względem, Hiszpanii są niezrównani.

Chór i główna kaplica są całkiem pokryte przepysznemi rzeźbami, przedstawiającemi różne obrazy. Wchodzące w nie postacie odznaczają się doskonałemi pozami i poważno-mistycznym wyrazem twarzy.

Miasto coraz więcej chyli się do upadku, a bogata katedra jest cudownie zachowana. Jest to wybitny przykład, ze świątynie będące przybytkiem idealizmu i rzeczy nadziemskich, są powszechnie niemal szanowane; opierają się potędze czasu i burzom rewolucyi, dając tem dobre świadectwo ludzkości.

Wyszedłszy z katedry udałem się do kościoła *San Juan de los Reyes* z którego Ferdynand i Izabella chcieli utworzyć Panteon Kastylii, a dziś obejmuje on nędzne Muzeum municypalne, nie warte oglądania. Zato sam klasztor zbudowany jest w stylu czysto gotyckim, a łuki, ozdoby i rzeźby zdradzają wytworny smak architekta. Przewodnik wskazał mi kajdany rozwieszone na fasadzie — są one zdjęte z chrześcian, którym dzielna Izabella powróciła wolność.

Z tarasu przed kościołem widać fabrykę broni białej, słynnej ze swych noży i która po dziśdzień dostarsza arsenałom królewskim bagnetów, szpad i szabli

Dyalekt toledański jest najdźwięczniejszy i najpoprawniejszy w Hiszpanii.

I.

KORDUBA.

Z Toledo powróciłem do Aranjuez, aby odjechać do Korduby pociągiem odchodzącym o północy. Parę godzin trzeba było czekać na niego w ciemnej zadymionej sali. W przeciwnym rogu dostrzegłem niewyraźnie gromadkę osób rozmawiających z sobą. Po chwili mężczyzna jakiś oddzielił się od nich i zbliżył się do mnie. U pasa miał zawieszony koszyk pełen jakichś błyszczących przedmiotów; przypatrzywszy się lepiej, poznałem, że to noże i sztylety, najrozmaitszej wielkości.

— Wyrób z Albacete, signore, ostrza hartowne i nadzwyczaj ostre — i zręcznie otwierał noże i wysuwał z pochwy sztylety, pokazując mi je i wychwalając w sposób przesadny właściwy Hiszpanom, a widząc że jakoś nie zachęca mnie to do kupna, rozłożył ogromny kordelas i machając nim dotykał mego krawatu, tak że mając literalnie nóż na gardle, zmuszony prawie byłem kupić jedno z tych narzędzi śmierci, które jednak w tym kraju mogło w mojem ręku stać się puklerzem obrony.

Znudzony długiem czekaniem, z radością powitałem księżyc pojawiający się na horyzoncie, bo korzystając z jego światła, mogłem przypatrywać się pałacowi i parkowi Aranjuez, leżącym w pobliżu stacyi.

W pośród jasnej, pogodnej nocy styczniowej, ciepłej jak piękna noc majowa, widziałem rysujące się lekko w przestrzeni wysokie mury królewskiego zamku i wierzchołki wyniosłych drzew których stopy oblewa cichy i poważny Tag, płynąc prawie bez żadnego szmeru. Blade, drżące promienie księżyca, nadają rozrzuconym po parku statuom postać jakichś niewyraźnych widziadeł. Wyobraźnia moja odniosła się mimowolnie do owych czasów „pięknych dni z Aranjuezu". Jakże to odległe wspomnienia! smutny dramat zakradł się w dzieje pałacu! Zdaje się widzimy jeszcze smutnej pamięci postacie niecnego faworyta uciekającego przed mordercami wiarołomnej królowej i słabego monarchy, który w chwili podpisania abdykacyi, zdobywa się na jakiś cień energii, ale po to tylko, aby przekląć własnego syna.

Królowi Amadeuszowi nie brakło odwagi ani mocy charakteru — a jakiegoż to smutnego doznał rozczarowania przybywszy do tego pałacu. Czas był mroźny, ale przyjęcie zimniejsze jeszcze. Już od tej chwili młody monarcha mógł poznać jakie czeka go tu niepowodzenie.

W jakiś czas potem można było mniemać, że powrócą piękne dni Aranjuezu, a to wtedy gdy przybyła tu młodziutka, pełna powabu księżniczka Mercedes, dla zakończenia tu najniewinniejszego i najpiękniejszego romansu, jakiemu równego nie znalazłby może wśród rodów królewskich. Ztąd wyjechała dumna i szczęśliwa, w białej szacie oblubienicy, aby piękne swe czoło opromienić koroną Hiszpanii, którą niestety, tak krótko nosić miała!

Nadszedł nareszcie pociąg idący do Korduby; zapuszczamy się w opustoszałe płaszczyzny wśród których gdzieniegdzie zaledwie pojawiły się ślady uprawy, do której zresztą nie bardzo się nadaje grunt wszędzie tu prawie nieurodzajny. Ale, co prawda, inaczej być nie może, chyba gdyby, jak ziemia obiecana, chciał sam z siebie wydawać owoce i bogate plony. Oto co przed dwustu jeszcze laty pisano o tej okolicy:

„Hiszpanie są bardzo leniwi i nie chce im się zająć uprawą roli; a że tu każdy chłop uważa się za *ladalgo* to jest za szlachcica, że w najnędzniejszej chacie mają swoją przed stu laty zmyśloną historyę rodową, stanowiącą jedyny spadek dzieci i wnuków wieśniaków, a według bajecznej tej historyi wszyscy pochodzą niby od znakomitych starożytnych rycerzy i mówią wszystkim że pra-pradziadowie ich, don Pedro i don Juan jakieś nader ważne usługi oddali koronie, zatem nie mogą ubliżać swej powadze i pochodzeniu (*grawedad* i *descendencia*). I wolą cierpiéć głód, znosić brak najpierwszych potrzeb życia, niż jak mówią, pracować jak najemnicy, bo to niewolnikom tylko przystoi. Pycha tedy, podsycona lenistwem, nie dozwala im zająć się uprawą i obsianiem ich gruntów, które leżałyby odłogiem gdyby obcy nie przyszli ich uprawiać, co zwykle miewa miejsce, gdyż dzięki swej pracy, znaczne z tego ciągną korzyści. Wieśniak tedy siedzi sobie spokojnie czytając jaki stary romans, podczas gdy inni pracują za niego."

Jak przed dwoma wiekami tak i dziś jest to najzupełniejszą prawdą: pycha i lenistwo oparły się podniecie nowoczesnych idej i wyrachowaniom polityki parlamentarnego rządu.

Dzięki jasno przyświecającemu księżycowi, można było rozpoznać stojące na nagiem polu wiatraki Criptana, których skrzydła zdają się dotąd jeszcze wyzywać walecznego rycerza, Don Quichott'a z Manszy, co to kiedyś zaszczycił je wytoczeniem im walki. Na stacyi Manzaneres, około drugiej nad ranem, gdy zdrzemnąłem się marząc o Cervantesie, otworzyły się drzwiczki powozu i zbudził mnie głośny głos kobiecy, która przecież nie częstowała nas jak zwykle wodą lub chłodnikami, ale zaczęła deklamować wierszem jedną ze słynnych przygód bohatera, którego nazwisko tak ściśle łączy się ze wspomnieniami tych okolic. Była to młoda cyganka, a ta jej nocna deklamacya wy-

(*) Romancero z XI wieku.

powiedziana dźwięcznym i przejmującym głosem, przedstawiła nam ciekawy rys miejscowych obyczai.

(*D. c. n.*)

PRZEGLĄD LITERACKI.

Na przełomie sztuki polskiej, przez *F. K. Martynowskiego.*

Powiadają ludzie, że dobre wyobrażenie o samym sobie, stanowi połowę szczęścia ludzkiego. Otóż te słowa można śmiało zastosować do p. F. K. Martynowskiego, przeczytawszy jeden z początkowych ustępów, wstępu czy też odezwy do Czytelnika, w którym p. Martynowski powiada: „W rzeczy tej rzuciłem nowy zupełnie pogląd na sztukę polską w przeszłości, uzasadniając go, o ile szczupłe ramy odczytu na to pozwoliły." P. M. nie mylił się istotnie wygłaszając zupełnie nowy pogląd na przedmiot traktowany, a tem nowszy i oryginalniejszy, że apodyktycznie odmawiający naszym sztukom wszelkiej polskości bo „praca artystyczna naszego narodu w przeszłości jako odgłos sztuki zachodnio-południowej Europy — była francuzką, włoską, niemiecką tylko nie polską".

Podotąd byliśmy innego przekonania, a prof. Łuszczkiewicz, Łepkowski, Kremer i inni inaczej na tę rzecz się zapatrywali, będąc przekonani, że Polska w przeszłości nie była pozbawiona swej sztuki!

Twierdzenia swe oparł p. M. na *zjawisku* (?) że nasza (to jest polska) *linia artystyczna*, do końca XVIII wieku nie przedstawia w sobie motywów samodzielnych, narodowych ale przez cały bieg żywota swego rozwijała się na wzorach obcych. Na zasadzie też tego przyszedł p. M. do wniosku, że „sztuka polska może się rozwinąć świetnie, być samodzielną, ale tylko wtedy, jeżeli się oprze w pochodzie swoim na pierwiastkach narodowych." Dalej zaś mówi że: „architektura i rzeźba nasza po dziś stoją jeszcze na gruncie tradycyi!" Otóż zachodzi pytanie jakie to mają być owe dzieła architektoniczne, porządki czyli style, aby dla p. M. uwidomiły swą polskość? Jakim sposobem mają być wykonywane rzeźby przez polskich artystów, aby p. M. uznał je za twory polskiej sztuki? Nakoniec jaka to jest *linia artystyczna*, która nie ma w sobie nic narodowego?

Jeżeli p. M. w pracy swej chce wyrazić to, że w Polsce przez krajowców sztuka uprawianą nie była, to najzupełniej z autorem nowych poglądów się zgadzamy, tembardziej, że i sam o tem mówi (str. 34) „Wewnętrzne stosunki Polski z doby Piastów i pierwszych Jagiellonów, jej stosunek do ościennych ludów a zwłaszcza Turków i Tatarów, nie przedstawiają przyjaznych warunków dla spokojnego rozwoju linii artystycznej." Boć przecie w owych czasach, gdy ciągle trzeba było być na straży rodzinnego zagona, niepodobna było myśléć o sztuce i samoistnym jej kształceniu się, jak chce p. M. *na tematach narodowych.* Wytworzenie zaś stylu czyli nowego porządku architektonicznego, czysto polskiego, jak wówczas tak teraz, jak i w przyszłości nigdy nie nastąpi, bo w stylach istniejących, stylach klasycznych wyczerpane już zostało wszystko co tylko duch ludzki wytworzyć może, a choćbyśmy te style skojarzyli z tematami swojskiemi, liście akantu zastąpili liśćmi paproci, łopionu lub maku, w stylu jońskim rogi baranie usunęli a zastąpili takoweż rogami tura lub żubra a w ornamentyce stylu rzymskiego użyli całą naszą florę, to zawsze głównych linii nie zmienimy i zawsze będziemy mieli przed sobą style pierwotne. Zgadzamy się z p. M. że stylu polskiego nie ma ale też nie ma i stylów francuzkich, angielskich, szwedzkich, bo wszystkie jakie są, są niczem innem jak mniej lub więcej nieudolnym naśladownictwem stylów klasycznych. Co do indywidualnego znamienia dawnych polskich budowli architektonicznych, na które spojrzawszy odrazu poznać można czyj duch je wytworzył, to bezwarunkowo staję po stronie Łuszczkiewicza, twierdzącego, że gotyk wiślano-baltycki, był i jest wytworem polskiego ducha, a że się nie rozwielmożnił, nie spotężniał, nie rozwinął nic należycie, to nie jest winą tego jakoby nie było ludzi przejętych duchem sztuki polskiej, lecz dlatego że na rozwój tej sztuki nie było czasu.

P. Martynowski niewysłowioną namiętnością upiera się i wszelkiemi możliwemi sposobami chce przekonać czytelnika, że sztuki polskiej, czyli jej uprawiaczy nigdy nie było, a ci co byli to niewolniczo naśladowali sztukę włoską i t. d. Dziwić się temu nie można, boć przecież tący Michałowicze, Głuscy, Minowie kształcili się nie w Polsce, lecz we Włoszech i Niemczech, lecz to co oni na gruncie naszym wytworzyli, co po sobie w spuściźnie nam zostawili, dziś stanowi chlubę naszą. P. Martynowski aczkolwiek niezaprzeczenie wykształcony estetyk i gruntownie obznajomiony z archeologią i sztuką, jednak w obronie swojego zdania wystąpił z bardzo słabemi argumentami.

Nie wchodząc w dalszy rozbiór pracy p. Martynowskiego, nie możemy powstrzymać się od postawienia pytania: jakie to cechy narodowe polskie dopatrzył p. Martynowski w mistrzowskich dziełach pędzla Siemiradzkiego np. w *Jawnogrzesznicy* (str. 50). Gdzież to jest tam owa *lawina uczuć narodowych*, czyż tą usymbolizowaną lawiną, miałaby być postać samej *jawnogrzesznicy?* Gdzie jest tam ów geniusz narodu, który gra *jak na szklanych harmoniki kręgach?* Z tem wszystkiem byłbym niesprawiedliwy i niesumienny sprawozdawca, gdybym bezwzględnie pracę p. Martynowskiego potępiał. Przeciwnie p. Martynowski dotknął w niej wiele kwestyi, które przez wszystkich dotąd z *respektem* były obchodzone, nie wahał się wytknąć bezperspektywność. Matejce, owemu mistrzowi dzisiejszej sztuki polskiej, nie wahał się powiedzieć słów prawdy, Abramowiczowi, Leopolskiemu, Mireckiemu, Gersonowi, Piwnickiemu, Elijaszowi i innym wielkościom, które na piedestale chwały stanęły dzięki warszawskiej krytyce i krytykom należącym do towarzystwa nieustającej wzajemnej adoracyi! Niewahał się skruszyć kopię z pp. architektami warszawskiemi, budującymi Kościół WW. Świętych, Towarzystwo Kredytowe miejskie, dom Grancowa (str. 57) i wykazał że architektoniczne dzieła ich, mające być dziełami pomnikowemi, są pozbawione harmonii, proporcyi i są wzorowemi, jak nie należy traktować architektury.

W pracy pana Martynowskiego zgadzamy się w wielu razach z jego poglądami, lecz co do głównego założenia, to bezwarunkowo zgodzić się nie możemy. Rzecz cała napisana jest potoczyście, zajmująco, pięknym językiem, a w wielu razach nie bez pewnej dozy rodzimego, zdrowego humoru, co sprawia że pracę p. M. czyta się z wielkiem zajęciem.

Wł. Kor. Zieliński.

Z KRAJU I Z ZAGRANICY.

*** Donoszą z Krakowa że nowy obraz Matejki „Sobieski pod Wiedniem" jest już tak podmalowany iż można pojąć i ocenić całe bogactwo kompozycyi i odgadnąć przepych wykończenia. Z pierwszego zaraz wejrzenia, widać wielki spokój w kompozycyi i styl prawdziwie klasyczny. Osoby przedstawione nie są natłoczone; oblicze króla pełne majestatu — prawdziwy to monarcha i bohater który uratował chrześciaństwo. Otaczające króla postacie książąt niemieckich, namalowane są po mistrzowsku. Na tem tle wyprawy z 1683 r. Matejko przedstawił ostateczne następstwo bitwy pod Wiedniem, to jest gdy król, jako główny dowódzca wojsk, wysyła poselstwo do Rzymu z zawiadomieniem o stanowczym pogromie Turków i oswobodzeniu Europy od islamu. Obraz ten jest znacznie większy od „Hołdu pruskiego" przedstawia Sobieskiego na koniu, z buławą w ręku, ubranego w żupan, w piękną futrzaną czapkę. Wysełając duchownego do Rzymu wręcza mu pismo dla oddania papieżowi. Sobieski siedzi na bułanym koniu w. wezyra, którego mu przyprowadzono jako zdobycz. Obok niego królewicz Jakób na koniu i Chodkiewicz, chorąży pancerny polskiej husaryi, także na koniu z choragwią w ręku. Na prawo od widza, widać Wiedeń i wieżę św. Stefana; z tamtej strony nadjeżdżają książę Lotaryngski i Starenberg, pozdrawiając Sobieskiego uchyleniem kapelusza; hołd germański uwydatnia tu pochylenie przed królem Janem chorągwi niemieckich, przystrojonych w zielone wieńce.

Na lewo od patrzącego na obraz, siedzący na osiołku Włoch kapucyn, znany Marco d'Aviano trzyma obraz Matki Boskiej, znaleziony w ziemi, w miejscu w którem ustawiono namiot Sobieskiego, w którym przed bitwą słuchał Mszy św. spowiadał się i kommunikował. Stojący na koniach obok kapucyna Emanuel, elektor bawarski i Jerzy elektor saski, przypatrują się obrazowi. Dalej za nimi: hetman polny, Mikołaj Sieniawski, Stanisław Jabłonowski, wielki hetman koronny i kilku panów polskich. Przy karocy do której pakują zdobycze wojenne dla przesłania do Rzymu, stoi Kulczycki, który tak wielkie oddał usługi oblężonemi Wiedniowi. W oddali ukazuje się Kalenberg, wsławione wielkiem zwycięztwem. Obraz przedstawia wiele jeszcze postaci pierwszorzędnej piękności. Ma być ukończony w r. p. na dwóchsetletnią rocznicę zwycięztwa Sobieskiego pod Wiedniem.

*** W Poczdamie ogrodnicy uprawiają fijołki na tak wielkie rozmiary, iż wśród zimy posiadają po 20,000 wazoników tego kwiatu, z których około 5000 kwitnie i dostarcza codziennie około 100 tuzinów kwiatów na sprzedaż. Cena tuzina dochodzi w zimie do 70 fenigów. W takich samych rozmiarach hodują fijołki ogrodnicy w Berlinie, Charlottenburgu i w Lipsku, a sztuka ogrodnicza tak dalece pod tym względem postąpiła, że nie-

którzy z nich wytwarzają nawet drzewka fijołkowe. Przez lat dziesięć nie dopuszczają kwitnięcia, utrzymują roślinkę w prostym kierunku, starannie obcinając spodnie listki. Tym sposobem drzewko przybiera kształt palmy, dochodzi 15 centimetrów wysokości i na wiosnę bujnym okrywa się kwiatem.

⁂ Wiadomo jak obficie poławia się bursztyn na brzegach Baltyku; zdobywają go dwoma sposobami. Najłatwiejszym jest zbieranie bursztynu na brzegu morskim, albowiem jako niewiele cięższy od wody, przez burze wyrzucany bywa na wybrzeża; drugi sposób polega na wyławianiu bursztynu siecią na dwie stopy szeroką, podczas burzy lub wiatru. Wprawnem okiem łowiący dopatrują duże kawałki bursztynu i wyławiają sieciami razem z tak zwanym bursztynowym szlamem, z którego go oczyszczają. Takie łowienie siecią daje niekiedy bardzo obfite plony; i tak pewnej jesiennej nocy, w r. 1862 w blizkości Nodemsu, wyłowiono 4000 funtów bursztynu, wartości 12,000 talarów. Po wyjęciu z wody, bursztyn ma prześliczny kolor; ułożony w stosy na wybrzeżu, mieni się w najrozmaitsze barwy: rubinowe, żółte i białe, traci je jednak po zetknięciu się z powietrzem. Oprócz powyższych sposobów, bursztyn wydobywany jeszcze bywa przez nurków, i przez wykopywanie, ale najwięcej cenionym jest otrzymywany przez wyławianie. Ogólna ilość bursztynu wydobywanego przy brzegach Prus Wschodnich, wysosi 196,000 kilogramów, wartości 3,267,000 marek. Znaczną część tej ilości bursztynu stanowią drobne odłamki, mało zdatne na wyroby; cały połów bursztynu w Niemczech rząd wypuszcza w dzierżawę. Wyrabiają z niego prześliczne ozdoby: kolczyki, brosze, medaliony, naszyjniki, bransolety, tak gustownie i wykwintnie wykończone, iż do największego stroju służyć mogą, a pomimo to cena ich jest bardzo przystępna. U nas ozdoby bursztynowe w jednej tylko Ostrołęce wyrabiają — rozpowszechnienia ich nie dopuszczają jednak nakładane zbyt wygórowane ceny.

⁂ Jeszcze przed 30 mniej więcej laty szkoły publiczne w Nowym Yorku znajdowały się w niezbyt kwitnącym stanie, obecnie dosięgły wysokiego stopnia rozwoju. W początku bieżącego stulecia, Nowy York posiadał jedynie szkoły kościelne i prywatne; dopiero w r. 1805 zawiązało się towarzystwo *Tree of public School Society*, które podjęło się bezpłatnego wychowywania biednych dzieci, nie będących w stanie uczęszczać do szkół kościelnych — miasto zaś dopiero w 1842 r. założyło szkoły publiczne. Wszystkie te szkoły miejskie nietylko są bezpłatne, ale nadto dostarczają nawet uczniom książek, narzędzi i wszelkich potrzebnych materyałów. Organizacya gmin szkolnych jest jeszcze nieco zanadto skomplikowana, lecz i tu mają niezadługo zaprowadzić dobroczynne reformy. Wykazy statystyczne szkół i uczni pobierających w nich naukę, przedstawają następujące cyfry: wszystkich wogóle szkół niższych i wyższych dla chłopców i dziewcząt było 252; z tych 4 dla ludności kolorowej lecz do tej ogólnej liczby doliczyć jeszcze należy 48 szkół w domach dla sierot, w domach poprawy i w innych t. p. zakładach. Utrzymanie tych szkół kosztowało w r. 1881, pokaźną sumę 3,592,079 dolarów, oprócz 126,358 dolarów, wydanych na miejscowe kollegium. Ogólna liczba nauczycieli wynosiła 3,483, nauczycielek 2,726, uczących się zaś było 280,000. Dotąd jednak brakuje jeszcze seminaryum dla nauczycieli, lecz zato już od r. 1870 istnieje zakład kształcący nauczycielki. W programie nauk historya powszechna i gimnastyka zajmują nader podrzędne stanowisko, ale każdy uczeń czy uczenica musi znać doskonale historyą Ameryki i Stanów Zjednoczonych; z obcych języków wykładany jest tylko język niemiecki i francuzki, pierwszy znacznie gruntowniej i obszerniej. Na dostarczane bezpłatne wszystkim szkołom książki i materyały piśmienne, wydano w tymże 1881 r. 119,160 dolarów. Europa powinna się wstydzić że ją świat nowy tak ubiegł w staraniu o oświatę nie cząstki ale całej społeczności.

⁂ W Waszyngtonie zaczęto wydawać dziennik pod osobliwszym tytułem: „The Tomahawk"; wiadomo, że jest to nazwa używanej przez Indyan siekiery. Redaktorką pisma jest Szwajcarka, panna Róża Brandli, z Togenburga. W programie groźna redaktorka zamieściła następujący ustęp: „Dziennik ten nie będzie należał do żadnego stronnictwa; nóż indyjski (*scalping knife*) zawsze dobyty z pochwy, będzie wymierzał krwawe cięcia na wszystkie strony, ilekroć tylko mieć będzie miejsce nadużycie władzy przez urzędników publicznych lub niewypełnianie należących do nich obowiązków. Będzie on skalpować duchowo wszystkich poświęcających interesa publiczne osobistym widokom."

Podobny dziennik byle sumiennie redagowany, jakże może być pożytecznym wszędzie nietylko w samej Ameryce.

Do dzisiejszego N-ru Tygodnika Mód dołącza się dodatek z drzeworytami i arkusz z krojami.

ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ Варшава 29 Сентября 1882 г. Redaktor J. K. Gregorowicz. Wydawca E. Skiwski. Druk E. Skiwskiego Chmielna N. 1530 (20).

WALKI ŻYCIA.

PRZEMYSŁOWIEC.

Przez

Jerzego Ohnet.

(Przekład z francuzkiego.)

(Dalszy ciąg.)

Pan Escande nie ukrywał wielkiego niezadowolnienia, widząc że Moulinet spuścił głowę i nie myśli odpowiadać, notaryusz zdobył się na krok stanowczy, i przysuwając się do księcia de Bligny rzekł uroczystym tonem.

— Jakże mi przykro, kochany książę, że dziś właśnie, i w miejscu tak niewłaściwym do podobnych zwierzeń, dowiesz się smutnego faktu o jakim nadmienił pan Moulinet... Lecz z drugiej strony, ponieważ niewątpliwie nie dalej jak jutro byłbyś o tem zawiadomiony, nie widzę w tem nic niestosownego abyś dowiedział się dziś jeszcze. Otóż, w chwili wejścia księcia do tej sali, mówiłem właśnie tym panom, że udawszy się do Anglii dla pewnych ważnych interesów, pierwej niż ktokolwiek inny miałem sposobność dowiedzieć się iż proces rozpoczęty przez margrabiego i prowadzony dalej przez jego spadkobierców, został ostatecznie i stanowczo przegrany...

Gaston zbladł usłyszawszy nagle tak nieprzewidzianą wiadomość. To przegranie procesu w którym margrabina tak wielkie pokładała nadzieje, pozbawiało Klarę majątku — zrozumiał to w jednej chwili, zdołał jednak zapanować nad sobą i rzekł wyniośle:

— Dziwi mnie niewymownie, panie notaryuszu, że pozwalasz sobie brać za tekst swoich gawęd okoliczności odnoszące się do rodziny de Beaulieu— zdaje mi się że sprawy moje familijne nie są tematem dla próżniaków, do kucia na tem tle plotek lub niedorzecznej paplaniny dla zabawiania obojętnych osób których one nic nie obchodzą. Prosiłbym abyś pan przestał nadal zajmować się niemi.

Młody notaryusz pobladł usłyszawszy te słowa; podniósł głowę oddychając ciężko, i rzekł przybierając obrażoną minę:

— Ależ kochany książę, nie sądź...

— Sądzę jak mi się podoba, odrzekł oschle de Bligny, i dumnie zmierzywszy wzrokiem notaryusza, oddalił się zwolna a za nim milczący jego przyjaciele.

Pozostawszy sami, Moulinet i Escande milcząc spojrzeli na siebie, nareszcie wykrzywiając usta uśmiechem, przemysłowiec rzekł:

— Nie lada krew ci de Bligny! a to ci wypalił wypomnienie, kochany notaryuszu, ale co prawda i mnie się z tego dostało... No! mniejsza o to, ale krew w nim nie wodał... I zupełnie jest zrujnowany?

— Jak może być najzupełniej... i to gra rolę wielkiego pana, zadziera nos w górę i daje nauki...

— Ale jak wybornie zachować się umie na swojem stanowisku!... No! kochany notaryuszu, rewolucyoniści mogą robić i prawić co im się podoba, ale my nigdy nie dorównamy ludziom tej sfery... Jakąż to młody ten książe dobrą byłby partyą dla bogatej panny!

Rozmowę tę przerwały trzy uroczyste uderzenia, powoli i w pewnych odstępach dokonane na scenie— Moulinet i Escande zajęli swe miejsca. Książę usiadł w pewnej od nich odległości. Orkiestra zaczęła grać uwerturę — rozeszły się melodyjne tony ślicznego walca. Gaston słuchający na pozór uważnie, w rzeczywistości zatonął w głębokiem rozmyślaniu. Ta ruina majątku Klary, był to grom niweczący wszystkie jego nadzieje, całą przyszłość. Był narzeczonym ubogiej teraz panny de Beaulieu. Trzeba jednak powiedzieć na jego pochwałę, iż ani pomyślał o zerwaniu swoich zobowiązań, ani przypuszczał iż mógłby z inną ożenić się kobietą. Uważał się nieodwołalnie związanym; przy sobie, tuż przy sercu, miał w kieszeni pudełko białe aksamitne, zdobne połączonemi herbami de Beaulieu i de Bligny, a w niem pierścionek zaręczynowy — silniej jednak od niego przykuwało go dane słowo.

A jednak ożenienie się z pozbawioną majątku Klarą, skazywało go na całe życie, co najwięcej, na mierność, zamknięcie się w wiejskim pałacyku, utrzymywanie domu na stopie zamożniejszych fermierów, niebywanie i nieprzyjmowanie nikogo dla niezwiększania wydatków. Dla pięknego, pełnego uroku i tak poszukiwanego w świecie Gastona, było to jedno co żywcem zakopać się w grobie. Jakże gorzko teraz żałował że tak marnie roztrwonił ogromne sumy wygrane w karty!—bo choć pieniądze pozyskane w ten sposób niezbyt są pożądane, zawsze to przecież pieniądze jak i drugie — a jak tu żyć bez nich w tym pozytywnym wieku, w którym ludzi cenią tylko odnośnie do posiadanego mienia. O! takie życie nie jest życiem!...

Potem znowu pomyślał z rozrzewnieniem o rozpaczy Klary i jej matki, gdy nieszczęsna ta wiadomość dojdzie do nich; — dotąd pewnie nic jeszcze nie wiedzą, skoro ten młokos Escande tak świeżo przywiózł ją z Anglii... I myślał o przyśpieszeniu wyjazdu, aby obecnością swoją osłodzić cios tak straszny, aby pocieszyć je współczuciem i swojem niezmiennem przywiązaniem.

Kurtyna się podniosła; dekoracya przedstawiała piękny słoneczny krajobraz wiosenny; żniwacy i żniwiarki zapełniający scenę, śpiewali znaną piosenkę:

Śpiewajcie dziewczęta,
Śpiewajcie młokosy,
Przy odgłosie śpiewu
Podnoście swe kosy.

Te proste i nieuczone słowa, na inny tor zwróciły myśli młodego księcia. Widział się w Beaulieu siedzącym obok Klary, pod błękitnem niebios sklepieniem; żniwacy śpiewali w polu; jakieś ożywcze ciepło unosiło się w przestrzeni. Owładnęło nim jakieś rozkoszne uczucie — obok tej którą kochał nawet w ubóstwie był szczęśliwy. Jakże błogim był ten spokój i cisza po owej krótkiej epoce burzliwego i hulaszczego życia! używał ich w całej pełni, czując że ta mierność na jaką skazywała go majątkowa ruina Klary, nieznane i porywające gotowała mu rozkosze.

Na scenie, Alfons de Rouflaquette śpiewał z księżniczką wielki swój duet,— śpiew w którym ona chce wyrzec się dla ukochanego wielkości i dworu, szalone wywołał oklaski — zapowiadało to nader świetne powodzenie *Wychowaniu księżniczki*. Obecny na przedstawieniu dyrektor *Rozmaitości*, rozmyśla już o nabyciu tej sztuki na sezon zimowy.

Moulinet, rozparty w krześle, poruszał głową jak niedźwiedz słuchający gry na flecie. Nie zajmowały go wcale przygody księżniczki Hortensyi— on myślał o innej, o córce swojej, czarnobrewej Atenais. I widział ją małą jeszcze w klasztorze, w krótkiej sukience, w ordynarnych trzewikach, z czerwonemi rękami; twarz jej nie była ponętną, rysy nieregularne, kontury ciała ostre, chodziła jak rozbita, słowem była wtedy w najniekorzystniejszym peryodzie dorastających dziewcząt. Gdy przyszedł, przychodziła do parlatoryum, gdzie elegancko ubrane koleżanki, pogardliwie spoglądały na nią. Wówczas papa Moulinet nie był jeszcze milionerem, nie założył jeszcze swej olbrzymiej fabryki czekolady, nie wymyślił ogłoszeń na niebieskim papierze, napisanych napuszonym stylem, zawiadamiających o jego wytworze najmniejsze nawet gminy leżące na krańcach Francyi. Utrzymywał wówczas hurtowny skład towarów kolonialnych.

Arystokratyczne matki koleżanek Atenais, nie ukrywały bynajmniej swego zadziwienia, że przyjęto na pensyonarkę córkę „handlarza"—nadto dochodziły do jego uszu wieści o różnych intrygach klasowych, wiedział z jaką arogancyą inne uczenice traktowały jego córkę. Nadto pamiętał dobrze iż przywódczą tej arystokratycznej opozycyi miała być panna de Beaulieu.

Ileż to razy słyszał Atanais z niepohamowanym gniewem mówiącą o niej! przysięgała płacząc że zemści się prędzej czy później. I ta chwila zemsty nadeszła sama przez się, nie obmyślana ani wywołana. Atenais Moulinet była obecnie jedną z najbogatszych dziedziczek w Paryżu, a dumna Klara de Beaulieu panną bez posagu. Córka „handlarza" ubierała się w Wortha, czesał ją najpierwszy fryzyer umiejący uczesanie zastosować do jej twarzy, otoczona zbytkiem wydelikatniała i zmieniła się nadzwyczaj na korzyść, a opromieniona aureolą milionów, uchodziła za najładniejszą pannę w sferze bogatych mieszczanek. Margrabianka de Beaulieu, nader skromnie ubrana, zmuszona będzie zagrzebać się na prowincyi, zniknąć z widowni świata, a... kto wie? może i rozchwieje się jej dawno ułożone małżeństwo z księciem de Bligny.

A książę ten to tak świetny młodzieniec, noszący tak znakomite arystokratyczne nazwisko! Jakże to często, gdy młody książę przychodził do klasztoru, z ciotką swoją margrabiną, odwiedzić Klarę, Atenais siniała ze złości widząc go obok niej—odgadywała bowiem że są przeznaczeni dla siebie. Więc ta znienawidzona Klara zostanie księżną — a ona? Zaślubi jakiego notaryusza, jakiegoś Escande'a lub handlującego jak jej ojciec, i zostanie matką córek i synów, które będą ją jak obecnie upokarzać i z góry patrzeć na nią.

Na tę myśl pogardliwy uśmiech zarysował się na ustach Moulineta; przechylił się w tył, i kładąc rękę do kieszeni, w której za poruszeniem odezwał

się dźwięk złota, szepnął sobie: I czemużby nie? czyż to nie jestem w stanie kupić jej męża jakiego zapragnie?... Poważnie rozejrzał się po sali, jakby upatrując zięcia w tym eleganckim tłumie. Zaślepiony swemi milionami, nie znał niepodobieństwa. Czyż znalazłby się zuchwalec zdolny odrzucić rękę Atenais, gdyby ją pokazano trzymającą czek na nieograniczoną sumę, choćby to był hrabia czy margrabia? Za jakąż sumę kupiłby go można? niech mu ją wymienią... on zarówno zapłacić może jeden czy dziesięć milionów. Dalej! licytacya na zięcia — jest dość bogatym aby nawet księcia kupić córce na męża.

I oczy jego spoglądały hardo, nawet groźnie; powiódł wzrokiem po wszystkich tych nieznanych twarzach, i zatrzymał go na księciu de Bligny. Gaston był posępny:—myśli o swojej kuzynce, mówił sobie Moulinet i złość go ogarnęła. Sam byłby umiał określić jakie myśli powstały w jego głowie, to pewna że projekt jakiś zaczynał w niej kiełkować.

Wielki gwar zapanował w sali; skończył się pierwszy akt operetki, kurtyna zapadła. Zawrzały głośne oklaski i wywoływania, w ciągu których książę wstał i w towarzystwie kilku przyjaciół obojętnie zwrócił się ku drzwiom. Moulinet śledził go wzrokiem, a nareszcie wstał i poszedł za nimi.

Na drugiem piętrze grano ciągle, nie przerywając gry dla operetki. Cisza panowała w przeznaczonych do niej salonach. Zaledwie niektóre dźwięki dochodziły uszu grających — nie zwracali na nie uwagi. Wiedzieli że na dole jest przedstawienie — ale cóż ich to obchodziło? Ich zajmował wyłącznie ten stół w kształcie podkowy, oświetlony palącym gazem wysuszającym ich mózgi.

Tam na dole siedziały kobiety w świetnych, eleganckich strojach, tworząc jakby bukiet kwiatów woniejących różnemi pachnidłami — ani pomyśleli o nich — dla nich stokroć większy miała powab dama pikowa lub kerowa. I nieczuli na urok urządzonej zabawy, głusi na głosy śpiewających, na orkiestrę z licznych złożoną instrumentów, pozostawali w ciężkiej i denerwującej atmosferze, z gorączkowym ożywieniem ciskając złoto na zielony stolik.

Młody książę machinalnie wszedł do tych salonów, nie myśląc ani wiedząc gdzie wchodzi. Czyżby wbrew pięknym jego postanowieniom, samo przeznaczenie popychało go do zielonego stolika? Bankier powiedział właśnie: Panowie, zaczynamy. Gaston wyjął z kieszeni bilet tysiącfrankowy i z roztargnieniem rzucił go na stół. Wygrał. Mimowolnie zawołał z zadziwieniem: ach!—gdyż odwykł już od powodzenia. Zaciekawiony czy szczęście dłużej sprzyjać mu będzie, zasiadł do gry.

W tej właśnie chwili Moulinet wchodził do sali— a było to pierwszy raz w życiu, gdyż z zasady miał wstręt do wszelkich gier hazardownych. Grywał tylko w gry w których umiejętnością dopomódz można szczęściu — do takich należał bezik. W wista grać nie umiał. Teraz jednak zbliżył się do stołu, i widząc że Gaston zostawia na nim swoje sto luidorów, postawił obok nich dziesięć franków. Widocznie okupywał tym sposobem prawo śledzenia Gastona, nie ściągając na siebie zarzutu niedelikatności. Był to człowiek umiejący robić użyteczne koncessye.

Gra ciągnęła się dalej, ale szansa się zmieniła— zdawałoby się że spłoszyły ją owe dziesięć franków cnotliwego przemysłowca. Bligny bladł i czerwienił się na przemian; palony namiętnością do gry, rzucał zapamiętale ostatnie swoje bilety bankowe. Moulinet widocznie nie dbający o wygraną, stawiał ciągle po dziesięć franków.

Gdy nareszcie, równo ze świtem, partya skończyła się skutkiem braku grających, książę przegrał 40,000 fr. Moulinet poznawszy jaki los czeka narzeczonego panny de Beaulieu, opuścił salę gry, i wróciwszy do przepysznego swego pałacu przy ulicy Malesherbes, dawno już spał spokojnie.

Właśnie o tej godzinie kiedy miał odjechać koleją aby udać się do Beaulieu, Gaston wchodził do zajmowanego pokoju, zdenerwowany, z rozpaloną głową, i opierając się o ramę okna, patrzył na ulicę de la Paix, na której zamiatacze rozpoczęli swą pracę. Świeże powietrze orzeźwiło go nieco; pogodne niebo przybrało różowy odcień. Zamyślony, powiedział sobie:—Wielkiego głupstwa dopuściłem się w nocy, ale wyjadę dziś wieczorem; pal dyabli bakarata! Ubrawszy się wyszedł i wsiadłszy do fiakra kazał zawieźć się do lasku Bulońskiego — ale wieczorem nie pojechał i powrócił do salonu gry.

A Klara wierna swej miłości i ślepo ufająca narzeczonemu, niecierpliwie wyglądała jego powrotu.

V.

Wieczorem dnia tego gdy Bachelin przybył do pałacu z dwoma zarówno złemi wiadomościami, to jest o przegraniu procesu i pobycie Gastona w Paryżu, margrabina nie ochłonąwszy jeszcze z tak ciężkiego ciosu, siedziała w swoim fotelu w wielkim salonie wychodzącym na taras. Zatopiona była w głębokiem rozmyślaniu; na twarzy jej odbijały się bolesne dręczące ją uczucia. Nagłe wejście młodego margrabiego przerwało smutne jej myśli. Drgnęła silnie i niespokojnie spojrzała na syna, jakby nowego obawiając się nieszczęścia. Zobaczywszy spokojną twarz jego i uśmiech na ustach rzekła z westchnieniem:

— Cóż mi powiesz, Oktawiuszu?

— Przyjechali krewni nasi, baronowstwo de Préfont, mateczko; powóz minął już kratę i wjechał do alei.

Jakoż w tejże chwili, wśród wieczornej ciszy, rozległ się skrzyp kół po żwirowej drodze. Margrabina zarzuciwszy gęstą koronkę na głowę i owinąwszy się ciepłym szalem, przeszła wielki przedsionek wykładany marmurem, ozdobiony starożytnemi kobiercami, i wyszła na peron. Powóz stanął właśnie przed pałacem, i prędko wychyliła się z niego uśmiechnięta twarzyczka osóbki mającej na głowie kapelusik z wielkim pękiem piór. Poruszała rączką przysłoniętą elegancką rękawiczką, a świeży i dźwięczny głosik powtarzał: Witajcie, witajcie mi wszyscy!

Młody margrabia stał już przy drzwiczkach powozu. Prędko wyskoczyła z niego młoda kobietka strojna w jedwabie, i stając na stopniu ukazała maleńką nóżkę obutą w jedwabną pończoszkę i elegancki bucik. Była to młoda baronowa de Préfont; rzuciła się w objęcia margrabiny i ściskając ją mówiła przerywanym głosem:

— Ach! cirociu, jakże się cieszę!... Dobra moja, kochana cioteczko, tak już dawno cię nie widziałam... A wy, moi drodzy...

I objąwszy wpół pannę de Beaulieu, zaczęła znów całować ją i pieścić, wołając:

— Klaro moja kochana, zdaje mi się że nie widziałyśmy się od wieku.

Potem, z kolei, przysunęła się do Oktawiusza, pozwalając mu pocałować się w oba policzki. Dalej po angielsku ścisnęła się z nim za ręce, śmiejąc się i szeleszcząc ciężką jedwabną suknią, przerywając radosne okrzyki dla złapania tchu, i zdobywając szturmem pałac i jego mieszkańców, z radosnem zadowolnieniem. W tem spoważniawszy nagle, baronowa zawołała:

— O nieba! gdzież mój mąż? i zaczęła szukać i oglądać się do koła. Czyżbym go dziś zarzuciła?

Łagodny głos odpowiedział jej: Jestem, moja droga, czekałem cierpliwie końca twoich uścisków, abym i ja mógł nareszcie powitać panie.

I ukazał się młody, trzydziestoletni może mężczyzna, w podróżnym stroju, z torebką zarzuconą przez plecy, i zbliżył się do margrabiny i Klary z twarzą ożywioną miłym, spokojnym uśmiechem.

— No, ukłońże się i przywitaj! wołała żywa i wesoła baronowa... No, tak dobrze... a teraz idź dopilnuj wypakowania moich kufrów i skrzynek. Szczególniej polecam ci pudełko z kapeluszami — głową swoją odpowiesz mi za nie!

— Dobrze, moja droga, odrzekł spokojnie baron.

A zwracając się do Oktawiusza, dodał z pełnym rezygnacyi uśmiechem.

— Dziewiętnaście sztuk pakunków, trzysta pudów nad dozwoloną wagę!... Doprawdy możnaby myśléć że żona moja przewozi cały rynsztunek artyleryjski!...

Panie weszły do salonu. Baronowa pochyliła się ku margrabinie, mówiąc:

— Ach ciociu! jakże wiele mam ci do powiedzenia... A ściskając z rozrzewnieniem jej ręce, dodała: Wszak wiesz że cię bardzo kochamy, i że cokolwiek ciebie obchodzi i nam nie może być obojętnem.

Gdy zaniepokojona pani de Beaulieu spojrzała na Klarę słuchającą uważnie, baronowa pomiarkowała się, mówiąc:

— A! tak... wiem... rozumiem... Mąż mój powie wam wszystko.

I jakby chcąc zatrzéć wrażenie słów wypowiedzianych, zbliżyła się do Klary, i ująwszy ją wpół, mówiła:

— Czy wiesz, Klaro, jedziemy do Szwajcaryi... i nie mogliśmy przenieść na sobie aby przejeżdżając tak blizko, nie wstąpić do Beaulieu... Zabawimy u was kilka dni, a potem dostaniemy się do kolei przez wąwoz des Verrières... Niestety! biedna nasza armia wschodnia; baron został ranny pod Joux w ostatniej potyczce aryergardą z Badeńczykami tego strasznego Werdera... Pojmujesz... dla mnie to prawie pielgrzymka... Mąż mój bił się jak bohater... Z dwiestu ludzi składających jego kompanię... biedaków zlodowaciałych od śniegu... odprowadził tylko 80... straszna rzecz!... i, czy uwierzysz? nie dano mu orderu... Co prawda, wiedzą że należy do legitymistów... A! jakże to obrzydły i wstrętny jest ten rząd teraźniejszy!... Powiedzcież mi, moi drodzy, co tu myślicie o Gambecie? czy sądzicie że nareszcie odważy się wejść do ministeryum?

I baronowa nie przestawała mówić, śmiejąc się, ożywiając, unosząc, już to wyrażając się dramatycznie, już paplając jak papuga, przerzucając się z jednego przedmiotu do innego z zadziwiającą zmiennością myśli i różnorodnością wyrażeń. Była jakby istnym żyjącym kalejdoskopem, zmieniającym nieustannie barwy i obrazy.

Margrabina i Klara słuchały słów jej zdziwione i oszołomione. Nawyknąwszy do ciszy i spokoju wiejskiego, stały się więcej jak kiedykolwiek poważne i rozważające; to też niezwykłe ożywieni

młodej Paryżanki, jej śmiech wesoły i bezładna mowa, sprawiały im zawrót głowy.

Nie czekając odpowiedzi na swoje zapytanie, przebiegła salon i stanąwszy przy oknie z którego widać było w oddali ocienioną dolinę a w pośród niej piece kuźnicze ziejące tysiące iskier, klasnęła w dłonie wołając z uwielbieniem:

— Ach! jakże to prześlicznie!... zupełnie jak dekoracya teatralna!... O! bodajto przyroda!... Jakże szczęśliwe jesteście mogąc żyć tu wpośród pól i lasów... jak to zbawiennie wpływa na zdrowie i konserwuje młodość... Spojrzno na nas, cioteczko i porównaj mnie z Klarą — jesteśmy w jednym wieku, a mimo to ja wyglądam na jej matkę... a powodem tego bale, obiady, wizyty, teatra, widowiska, cały szereg denerwującego życia paryzkiego... Doprawdy, ciężka to praca tak nieustannie się bawić i najrozmaitszemi napawać rozkoszami... Śmiejesz się, cioteczko? powiesz mi pewnie że tak mnie jak męża mego nic do tego nie zmusza, że moglibyśmy corocznie choćby ze cztery miesiące spędzić w naszych dobrach w Burgundii... Zapewnie—ale jak tu pogodzić jedno z drugiem? Baron, jak wiecie, jest uczony, a Paryż jestześrodkowaniem nauk i ich rozwoju. W nim odbywają się wszelkie posiedzenia naukowe, w nim Akademia... A! ta akademia!... I ja też mam tysiączne obowiązki od których wyłamać się nie mogę; muszę utrzymać stosunki, pilnować zarządu licznych stowarzyszeń dobroczynnych... a nareszcie mam przecież córkę, której nie mogę znowu zostawiać zawsze pod opieką guwernantki... O! i teraz dwa miesiące przepędziliśmy nad brzegiem morza, dwa w podróży, dwa w Nicei — sami widzicie jak nie wiele zostaje czasu... A! to też jestem znużona niesłychanie... siadajmy, proszę....

I przeleciawszy jak wicher pomiędzy margrabiną i Klarą, rzuciła się na fotel margrabiny.

— No, teraz mówcież mi o sobie. Co tu porabiacie? czem się zajmujecie aby czas zabić? A Oktawiusz? A wasz sąsiad, właściciel kuźnic... Widzicie że pamiętam wszystko o czem tylko mi piszecie... A! cóżby się ze mną stało, żebym nie miała pamięci i niezgorszej przytomności umysłu!...

Zwinąwszy się i rozłożywszy wygodnie w szerokim fotelu, baronowa przymknęła oczy, przysposabiając się do uważnego słuchania ciotki i kuzynki.. Chwilę panowało milczenie; jak ptaszek śpiewający na gałęzi, który wywiódłszy swój tryl ostatni zasypia niezwłocznie nad brzegiem swego gniazdka, tak młoda Paryżanka, zmęczona podróżą opuściła głowę na pokrytą koronką poręcz wielkiego fotelu i niebawem, lekki z ust jej nieco otwartych unoszący się oddech, dał poznać że zasnęła.

Margrabina i Klara spojrzały na siebie uśmiechając się dobrotliwie. i wziąwszy rozpoczęte robótki, czekały przebudzenia młodej milutkiej kuzynki, która zostawszy żoną i matką nie przestała być dzieckiem.

Zofia baronowa de Préfont, z domu d'Hennecourt, była jedyną córką siostry margrabiego de Beaulieu. Obie z Klarą pobierały edukacyę w Sacré-Coeur, i ona to rzeczywiście była jakby głową klanu dziewcząt szlachetnego rodu, tak przykrych dla małych mieszczanek. Znała więc Atenais Moulinet. Złote serce, ale niesłychanie narwana, przez całe życie starała się wynagradzać dobrocią, przykrości sprawiane przez żywość i lekkomyślność. Ona to głównie przyczyniła się do rozbudzenia nienawiści Atenais do panny de Beaulieu. Pierwszego zaraz dnia przezwała pannę Moulinet *panną Kakao*. (Przytyk do fabryki czekolady, na której Moulinet zrobił miliony.) Omal nie przyszło do bitwy między temi trzynastoletniemi uczennicami, gdyby nie powaga starszej i rozsądniejszej Klary, która z pańską wyniosłością umiała jej nie dopuścić.

Atenais większą miała złość do pojednawczyni niż do wyzywającej. Przedwcześnie rozwiniętą mocą charakteru, panna de Beaulieu imponowała wszystkim koleżankom; — była ona poniekąd uosobieniem tej arystokracyi, tak ciężko dającej się we znaki małej Moulinet, i ta jej wrodzona wyższość wywołała zaciętą nienawiść pogardliwie traktowanej dziewczynki.

W rzeczywistości Klara osobiście nie zrobiła nigdy Atenais żadnej przykrości, ale charaktery ich i usposobienia były najzupełniej przeciwne. Wszystko, cała osobistość dumnej patrycyuszki, obrażało i gniewało córkę dorobkiewicza; powab postaci i ruchów, piękne białe ręce, pańska prostota kosztownego ubrania, nawet sam już papier listowy z kolorowanemi literami i herbem, oraz rękawiczki których nie zdejmowała z rąk podczas rekracyi. Klara i jej przyjaciółki, mówiły sobie *ty*, Atenais chciała także tak mówić wszystkim, co wywoływało nieustanne sprzeczki w tym miniaturowym świecie. Zofia Hennecourt, oburzona do najwyższego stopnia, nie chcąc aby „córka czekoladnika, mówiła jej *ty*, nazywała ją *panną*; Klara żartowała z tych błahych odróżnień i mówiła Atenais *ty* — ostatnia upatrzyła w tem lekceważenie i zniewagę. Klara widziała złość i niechęć małej Moulinet, ale nic sobie z nich nie robiła, czem, bezwiednie może, uwydatniała swe pogardliwe lekceważenie.

Panna d'Hennecourt i panna Kakao prowadziły z sobą zaciętą, nieustającą wojnę. Pewnego dnia, wracając z parlatoryum, Zofia przyniosła wielką pakę czekolady i częstowała nią wszystkie koleżanki; gdy z kolei zbliżyła się do Atenais, rzekła ze słodką minką: „Czy cheesz? o nie obawiaj się, to nie z fabryki twego ojca, jest doskonała."

Mała Maulinet posiniała ze złości; poskoczyła i wyrywając jej z rąk paczkę rzuciła ją w okno, którego parę szyb rozleciały się w kawałki i padły na piasek. Zaczęto się popychać i potrącać, w następstwie czego Atenais pchnięta gwałtownie, upadła i o kawał szkła skaleczyła rękę. Złość, przestrach gdy zobaczyła krew płynącą ze swej ręki, spowodowały że utraciła przytomność; wtedy Zofia idąca zawsze za pierwszem wrażeniem, podniosła Atenais, pomogła przeprowadzić ją do infirmeryi, płacząc i rozpaczając że ona to była przyczyną wszystkiego złego.

Od owego dnia zupełna nastąpiła zmiana. Atenais stanęła otwarcie na czele stronnictwa mieszczańskiego; podzielono się na dwa obozy, do jednego należały szlachcianki, do drugiego bogate mieszczki. W miarę dorastania, kłótnie i niezgody tych dziewcząt nie wybuchały już tak jawnie, pokryte płaszczykiem obojętności, zdradzającym pewną światową obłudę i konwencyonalność. Nie drapały się i nie szturgały, trzymając ręce przy sobie, ale zato stokroć ostrzej raniły się słowami. Dumna i wyniosła Klara, trzymała się zdala od nich nie przyjmując udziału w walce — mimo to była znienawidzoną. Między nią a Atenais trwała nieustanna głucha wojna; nikomu nie było tajnem że panna Moulinet była zaciętą nieprzyjaciółką panny de Beaulieu, a obiedwie równemi rozporządzały siłami.

Papa Moulinet był już wówczas na drodze dorobienia się olbrzymiego majątku, utrzymywano że wynalazł sposób otrzymywania wanillii z węgla ziemnego, a Kakao zastępował palonemi migdałami, w ten sposób miał zyskiwać rocznie ogromne oszczędności przy wyrobie swej czekolady. W świecie paryzkim, zaczynano już zaliczać Moulinet'a do wartości finansowych. Został obrany sędzią trybunału handlowego; gdy wspomniano o nim, przyjaciele znacząco kiwali głowami, mówiąc: To człowiek nie lada! nie dla żartu nosi głowę na karku.

Moulinet, jowialny i łatwo się poufalający, mówiąc o sobie, powiadał: Papa Moulinet ma grube pieniądze; jest to sobie człowiek pospolity, ale wcale niezłośliwy. Jeźli ma w tem jakąś korzyść nie waha się wyświadczyć komuś przysługę... Pragnie gorąco zawiązać szersze stosunki i ulepszyć swoje towarzystwo, patrząc zawsze po nad siebie a nigdy niżej — i tym też sposobem, idąc coraz wyżej, doszedł świetnego powodzenia.

Pewnego dnia przybył do Sacré-Coeur w prześlicznym powozie, zaprzężonym w parę kosztownych rasowych koni, kazał zawołać córkę do parlatoryum, zabrał ją z sobą i nie wróciła już na pensyę. Atenais miała wtedy lat szesnaście. W niedzielę koleżanki spotkały ją w lasku jadącą przepysznym powozem ojca, poznawała je zdala i witała z uśmiechem, jakby nie mogąc się dość nacieszyć że kłania się z tak bogatego ekwipażu.

W kilka miesięcy później, Zofia i Klara wróciły do rodziny — wojna więc ustała skutkiem rozproszenia się nieprzyjaciół, ale nienawiść i chęć zemsty przechowały się w głębi serca panny Moulinet. Nie spuszczała z oczu swych rywalek. W Operze, siedząc w loży drugiego piętra, którą ojciec jej zaledwie zadobyć zdołał, patrzyła z gniewem na panny d'Hennecourt i de Beaulieu, paradujące w loży pierwszopiętrowej, między kolumnami. Podczas międzyaktów, wykwintna wielkoświatowa młodzież odwiedzała je nieustannie; w saloniku rozmawiano wesoło, częstowano się cukierkami — tymczasem w loży Moulineta pustka i milczenie.

Atenais mówiła sobie: Najniezawodniej jeden z tego natłoku młodzieży oświadczy się i zaślubi Klarę. Piękność panny de Beaulieu rozwinęła się i pełnym zajaśniała blaskiem. Jasna blondynka olśniewającej białości, pomimo iż ubierała się skromnie i żadnych nie nosiła klejnotów, ogólne budziła uwielbienie.

Zofia d'Hennecourt pierwsza poszła zamąż. Baron de Préfont oświadczył się i został przyjęty; ślub odbył się z wielką okazałością w kościele św. Augustyna. Msza była solenna, ale panny Moulinet nie zaproszono na nią; mimo to kilka dawnych jej koleżanek mówiło że widziały ją w kościele mocno zawoalowaną, w towarzystwie panny służącej, jak z bocznej nawy przyglądała się uroczystości. Stała ukryta za filarem, osłaniającym ją przed wzrokiem nieprzyjaciółek. Klara była pierwszą druhną i kwestowała z młodym wicehrabią de Pontac. Gdy dochodziła do miejsca w którem panna Moulinet urządziła swoje obserwatoryum, Atenais znikła w tłumie i wyszła z kościoła. Panna de Beaulieu przeszła obojętnie nie zwróciwszy na nią uwagi; kwestowała uśmiechnięta ani się domyślając że gdyby można zabić spojrzeniem, padłaby bez życia na posadzkę kościoła.

Po ślubie Zofii, gdy książę de Bligny wyjechał do Petersburga, Klara odsunęła się od świata, a nareszcie sześć miesięcy bawiła na wsi. Zapomniała zupełnie o Atenais, i patrząc na śpiącą spokojnie baronowę de Préfont, ani pomyślała o sprzeczkach i utarczkach, do jakich śliczny ten roztrzepaniec była kiedyś podnietą.

Otwarcie drzwi salonu obudziło baronowę; zobaczywszy męża wchodzącego z Oktawiuszem, ze-

rwała się prędko i odzyskując w jednej chwili przytomność umysłu, zawołała:

— Ach! pozwoliliście mi spać! i śmiejąc się dodała: Czyż jest to jak opiewają bajki, pałac piękności wznoszący się w usypiającym lesie? coto zaledwie ktoś doń wejdzie, oczy jego zamykają się w tej chwili. Ale gdzież jest cudowny zaczarowany książę? byłżebyś nim ty baronie?... Eh! nie, to pewnie Oktawiusz... Przebacz, cioteczko, ale to wina tutejszego powietrza, upoiło mnie wyraźnie— w Paryżu nie jesteśmy oswojeni z podobną atmosferą.

— Nic to nie szkodzi, odrzekła margrabina, pierwsze tylko wrażenie było tak silne, oswoisz się niebawem.

Baron zbliżył się do żony ze zwykłą sobie spokojną powagą.

— Spełniłem twoje rozkazy, moja droga, zniesiono już twoje pakunki, zapełniły cały pałac.

— Dobrze, odrzekła, z miną monarchini zadowolnionej ze swych poddanych.

— Czy zaprowadzić cię do twego apartamentu? zapytała Klara, widząc że baronowa stoi jakby namyślając się co robić.

— I owszem, moja droga.

I biorąc elegancki portsak z jej monogramem i herbem, który wchodząc położyła na krześle, znacząco spojrzała na męża.

Przysunął się prędko chcąc zanieść za nią portsak, ale mu go nie oddała:

— Nie mogę ci go powierzyć, rzekła, zanadto jesteś roztargniony, a mam tam drobiazgi które łatwo zepsuć można; ty mi zanieś, Oktawiuszu. I znów spojrzeniem wskazała mężowi margrabinę.

— Pochlebia mi taka o mnie opinia, moja droga odpowiedział z uśmiechem baron; no, kochany Oktawiuszu, spełnij narzuconą ci posługę, ja zostanę z margrabiną.

Zadowolniona że mąż ją zrozumiał, skinęła mu głową z uznaniem, i jakby dla pewności że Klara nie przeszkodzi ułożonemu sam na sam jej męża z margrabiną, wziąwszy ją pod rękę, wyszła z salonu nucąc jakąś piosenkę.

Baron, poważny i zamyślony, postąpił parę kroków w milczeniu; margrabina siedziała w fotelu zadumana patrząc przed siebie. W salonie było już prawie ciemno. Ogień płonący na kominku z różowego granitu, coraz żywszym buchał płomieniem, który łamiąc się i odbijając na suficie, fantastyczne nań rzucał cienie. Margrabina myślała sobie że może baron przywozi jej z Paryża lepsze wiadomości niż dostarczone rano przez Bachelina, i nadzieja jakaś zaczęła kiełkować w jej sercu. Dawał się już słyszeć dochodzący z pierwszego piętra odgłos kroków baronowej Klary i Oktawiusza przebiegających przeznaczone dla niej pokoje; niezwykły ruch zapanował w starym pałacu. Przytłumiony śpiew margrabiny głośnem odbijał się echem.

Nareszcie budząc się z zamyślenia, margrabina podniosła głowę, a widząc stojącego przed sobą barona, jakby czekającego jej rozkazów, smutnie uśmiechnęła się do niego.

— No, cóż masz mi do powiedzenia, kochany baronie? Zdaje mi się że odgaduję o co chodzi, i bardzo jestem niespokojna....

— Smutna to nader sprawa, kochana cociu, rzekł zakłopotany baron, i doprawdy nie doda naszemu światu powagi i uznania. Niestety! taka już dola nasza, że ilekroć ktoś z naszej sfery nie spełni swego obowiązku, wina jego ciąży na nas wszystkich. Dziś jedną już tylko mamy wyższość nad innemi klassami społecznemi — to jest wierność z jaką spełniamy nasze zobowiązania i przyrzeczenia. Prawie w przysłowie weszło „daję słowo szlachcica” otóż gdy przekonają się że i my nie dotrzymujemy przyrzeczeń jak pierwszy lepszy chłystek, i tej ostatniej cnoty nam nie przyznają, stracimy do reszty urok i poważanie.

Łzy stanęły w oczach margrabiny; załamując białe swe i wychudłe ręce, rzekła:

— Nie ukrywaj nic przede mną, kochany siostrzeńcze; dzięki gorliwości poczciwego Bachelin'a, wiem że książę de Bligny od sześciu już miesięcy bawi w Paryżu.

— Ach, wiesz już o tem, kochana margrabino, zawołał baron, lecz czy i to ci powiedziano że zamyśla się żenić? dodał z goryczą.

— Żenić się! on!... Gaston! zawołała z osłupieniem margrabina, zrywając się z fotelu, i twarz jej stała się bledszą od siwych okalających ją włosów.

— Tak, kochana ciotko; daruj mi tak szorstką szczerość, ale sądzę że w takich razach najlepiej odrazu wypowiedzieć całą prawdę.

— Zamierza się żenić, powtórzyła zwolna margrabina.

— Książę dokładał wszelkich usiłowań, aby to się nie rozgłosiło, ale przyszły teść, podobno nader trywialny mieszczuch, innego jest zdania, i rozpowiada o tem na wszystkie strony. Nieborak mało nie szaleje z radości — i nie dziw — córka jego ma zostać księżną! Całą tę historyę opowiedział mi de Casteran, zaufany przyjaciel księcia de Bligny, znający dobrze cały jej przebieg. Przykro mi bardzo iż muszę powiedzieć ci kochana ciotko, jak niegodnem jest postępowanie księcia de Bligny.—Zaledwie przyjechawszy z Petersburga, wdał się w grubą grę, jaka od pewnego czasu miewa miejsce w klubie; szczęście mu nie sprzyjało i wkrótce przegrał cały szczupły swój fundusz. Wtedy uciekając się do kassy klubu, znalazł w niej niezbędny mu kredyt. Zapłacił zaległe długi, ale grać nie przestał, i doszło do tego że w ciągu tygodnia przegrał 250,000 fr. Widać stracił zupełnie głowę, grał zapamiętale chcąc się odegrać. Jakoż udało mu się wygrać przez dwa wieczory 220,000 fr., trzeciego znowu przegrał 100,000, a nakoniec został dłużnym 200,000 fr. a nie miał ani franka. W klubach wszelkie długi karciane muszą być uiszczane w ciągu 24 godzin, pod karą opublikowania i wydalenia — tak więc książę znajdował się w nader trudnem położeniu. Według mnie, powinien był zwrócić się o pomoc do rodziny. Co do nas, jakkolwiek cały ten majątek stanowią dobra ziemskie, jednak oboje z baronową wystaralibyśmy mu się choć część potrzebnej sumy, o resztę mógłby się ułożyć. Ale Gaston nie chciał się zwrócić do nas z prośbą o pożyczkę, pomimo że Castéran koniecznie go do tego namawiał. Zamknął się w swoim pokuju w klubie, gorzkim oddając się rozmyślaniom. Pojmował iż ciężko skompromitował stanowisko swoje światowe i narazil całą przyszłość. Wtedy objawiła mu się Opatrzność w postaci przyszłego teścia, którego Gaston raz tylko widział w życiu. Przystąpił on wprost do rzeczy, w te prawie słowa przemawiając do księcia: „Książe winien jesteś 200,000 fr., musisz zapłacić je w ciągu dwudziestu czterech godzin, a znikąd ich nie dostaniesz.” Książę zerwał się chcąc przerwać mowę intruzowi, ale stary nie zważając na to powiedział: Otóż ja przynoszę księciu te niezbędne mu 200,000 fr. Posiadam ogromny majątek; nie chcę aby powiedziano że człowiek taki jak ja, dający jedynej córce 10 milionów franków posagu, pozwolił na skompromitowanie nazwiska jednej z najpierwszych rodzin w kraju.”

— Wszak prawda, ciociu, że to rzecz nie do uwierzenia? Wprawdzie nie ręczę za ścisłą dokładność wyrażeń, de Castéran ma ostry język i mógł coś dodać, ale mnie tak opowiedział całą tę historyę. Gaston został olśniony; zdało mu się że widzi przed sobą szczerozłotego człowieka; mając otwartą dla siebie kassę swego dobroczyńcy, zapuścił w nią palec; za palcem poszła cała ręka, a z kolei uwiązł w niej tytuł jego i przyszłość. I oto jak przyszło do tego że książę de Bligny żeni się z córką spanoszonego mieszczucha.

Przez chwilę zapanowało milczenie, ciemność zaległa salon. W ciemności tej baron zaledwie mógł dojrzeć dumnie podniesioną głowę margrabiny; słychać było tylko miarowy bieg zegara z czasów Ludwika XIV. Wtem młody baron dojrzał iż coś białego mignęło przed twarzą ciotki, i jednocześnie usłyszał tłumione łkanie — margrabina płakała. Przysunął się żywo do niej i klękając ujął jej rękę i ucałował, nie znajdując słów pociechy na tak wielką boleść, silniejszą nad wrodzoną dumę.

— To przejdzie, rzekła łagodnie margrabina; przyznaję że to cios tak straszny i nieprzewidziany, iż nie byłam panią siebie, nie zdołałam łez powstrzymać. Tak kochałam Gastona!... był dla mnie jakby drugim synem... Jest blizkim moim krewnym, tak więc wszelkie złe jakiego się dopuścił, podwójnie mnie dotyka. Nie mogę pojąć tej potwornej jego niewdzięczności, gdyż dawniej odznaczał się szlachetnem sercem i prawością charakteru... jakimże sposobem mógł zmienić się tak prędko?... Czyliż świat zdołał w przeciągu kilku miesięcy zniweczyć dzieło tyloletnich starań? tak troskliwie czuwałam nad nim, tak starałam się dać mu jak najlepsze wychowanie — i oto jak mi się odpłacił za podjęte trudy i przywiązanie... A! niewdzięczny! niewdzięczny!...

Baron był silnie wzruszony, margrabina uspokoiła się powoli, i rzekła ocierając ostatnie łzy:

— Teraz trzeba przedewszystkiem myśléć o Klarze, aby o ile się da złagodzić cios jaki ją dotyka. Znasz ją kochany baronie; jest dumna i popędliwa; serce ma złote, ale głowę żelazną — wdała się w ojca. Cios ten spada na nią jak grom z pogodnego nieba... Dziś rano jeszcze mówiła ze mną o Gastonie; ani na chwilę nie przypuszcza aby mógł myśléć o innej kobiecie; milczenie jego i opóźniający się przyjazd, przypisuje okolicznościom wynikającym z jego stanowiska. Nigdy zwątpienie nie zrodziło się w jej umyśle; sama szczera i prawego charakteru, wierzy w prawość i szczerość innych. W duszy osoby z jej charakterem i usposobieniem, podobne rozczarowanie może straszne spowodować zaburzenia.

— Czy nie zdaje ci się stosownem, ciotko, aby spróbować przełożyć Gastonowi niestosowność jego postępowania — może w ten sposób dałoby się jeszcze nakłonić go do dotrzymania uroczystych zobowiązań... Jeśli zechcesz mnie upoważnić do tego, jestem na twoje rozkazy.

— O nie!... zawołała wyniośle margrabina—nie należemy do tych co umieją upokarzać się i prosić. Jakkolwiek smutnem i bolesnem jest położenie nasze, nie zdoła jednak dotknąć naszej godności — nie myślę więc go zmieniać. Gdy już zobowiązanie siostrzeńca mego względem nowej jego narzeczonej stanie się nieodwołalnem, wtedy dam poznać Klarze tę smutną prawdę — gdyż, dodała z gorzkim uśmiechem, z człowiekiem tak zmiennym jak książę de Bligny, nigdy niczego pewnym być nie można, może jeszcze zmieni swoje zamiary.

(D. c. n.)



N. 1. Wykonanie obrączki do sakiewki ryc. 2.

Opis do N. 41.

(Dokończenie.)

N. 13—14. Szlak z haftem renaissance.

Odpowiedni na meble, do portjer i t. p. może być odrobiony na pluszu, atłasie, suknie



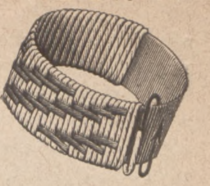
N. 2. Sakiewka szydełkowa z końcem zaokrąglonym. Patrz ryc. 1 i 20.

lub materyi; deseń można przerysować podług ryc. 14 lub też haft odrobić na materyi deseniowej. Szczegółowy opis takiej roboty znany jest od lat paru naszym czytelnikom, gdyż podaliśmy go już w roku 1880. Ażeby haft wyszedł równo najlepiej robotę wszyć w krosienka.



N. 5. Suknia strojna z dwojakiej materyi.

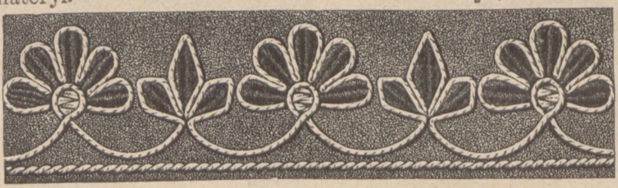
N. 6. Ubranie ślubne z welonem tiulowym. Patrz ryc. 11 i 36.



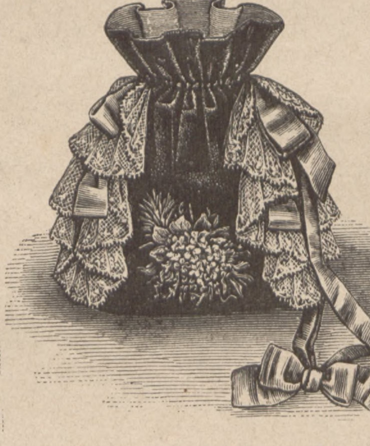
N. 3. Wykonanie kółka do sakiewki ryc. 4.



N. 4. Sakiewka szydełkowa. Patrz ryc. 3. i 21.



N. 7. Szlaczek wyszyty szenelą i sznureczkiem złotem.



N. 8. Woreczek Pompadour.

N. 22—24. Szkatułka na pieniądze.

Bardzo praktyczna szkatułka z przegródkami na drobne pieniądze, pleciona ze srebrnego drucika, przedstawiona jest na ryc. 23; pieniądze papierowe kładą się wprost na dno szkatułki, podniosłszy ruchomy środek z przegródkami, jaki widzimy na ryc. 24. Jeżeli chcemy zrobić podarunek z takiej szkatułki, można ją kazać zrobić z drzewa w środku wykleić materyą lub papierem a z wierzchu pokryć pluszem na którym daje się monogram lub t. p.

Ryc. 22 przedstawia taką szkatułkę, ozdobioną haftem z aplikacyą podług deseniu N. 1 na arkuszu z krojami.

N. 25—26. Kapelusz jesienny.

Fasonik z wysoką, do tyłu spadzistą główką pokrytą gładko ciemno zielonym

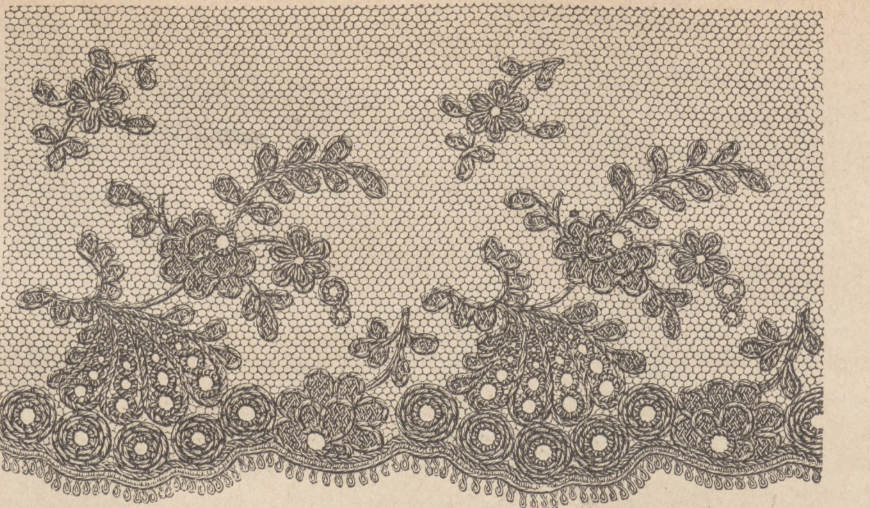


N. 9. Ubranie wieczorowe z wyciętym stanikiem.



N. 10. Strojne ubranie ze stanikiem pod szyję. Krój na arkuszu N. VIII, fig. 26—27.

aksamitem, ma rondko djademowo podniesione z jednego boku gładko pokryte aksamitem i przysłonięte suto piórami, dalej zaś aksamit jest bufowany. Z drugiego boku upięte są dwa skośne kawałki zielonej faille, po 15 c. szerokie, przepięte ozdobną agrafką.



N. 11. Koronka wywodzona na tiulu, odpowiednia do welonu ryc. 6.

N. 27. Żabot ze wstążki i koronki.

30 cent. długi żabot jest ułożony z żółtawej atłasowej wstążki 10 cent. szerokiej i z takiejże szerokości koronki, naśladujący koronkę alençon. Do podstawy ze sztywnego tiulu, przyszywa się kawałek wstążki 20 cent. długi, złożony we dwoje, u dołu oszyty plisowaną koronką; na wstążce spuszczona koronka zszyta brzegami do środka, po przemarszczeniu tworząca jakby dwa końce zaokrąglone u dołu, przepięte poprzecznie węzłem ze wstążki. Gorną część żabotu stanowi fałdowanie z kawałka koronki 60 cent długiego i dwa pukle z wstążki 9 i 11 cent. długie.



N. 12. Guzik metalowy do r. 1—2, w N. 40.



N. 13. Szlak z haftem renaissance. Patrz ryc. 14.

N. 29. Stora z wyszyciem krzyżykowem. Deseń patrz N. 3—6 fig. 31—32 na arkuszu z krojami.

Zrobiona z żółtawego płótna i ozdobiona haftem białym, liczy 50 cent. szerokości a 164 długości; boki oszyte są torsadką robotą wiązaną a u dołu story dana piękna szeroka frendzla.

N. 30. Szlak haftowany kolorowo.

Odpowiedni do przyozdobienia serwet, poduszek, koszyczków lub t. p. może być odrobiony na atłasie, aksamicie lub materyi. Ryc. 30 przedstawia szlak haftowany na jasnej materyi; kontury deseniu odznaczone podwójną nitką złotą przyszytą poprzecznemi ściegami żółtym jedwabiem; górne części arabesków i łodyżki także dane z nitki złotej, a reszta figur wyszyta cieniowanym jedwabiem



N. 15. Szlak ściegiem tamborkowym.

N. 31. Szalik koronkowy jako zarzutka na głowę.

Zarzutka taka jest naśladowaniem noszonych



N. 14. Część deseniu na haft renaissance, do ryc. 13.



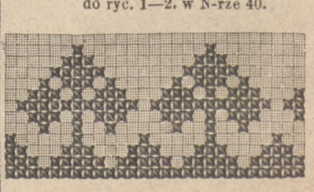
N. 16. Plecy do ryc. 38.



N. 17. Vêtement niepodpięte do ryc. 1—2. w N-rze 40.

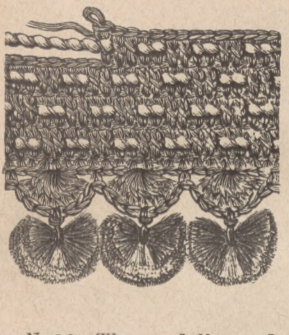


N. 18. Szlaczek do ryc. 9. w N-rze 40.



N. 19. Szlaczek krzyżykowy.

przez hiszpanki i włoszki i daje się najlepiej upiąć na włosach wysoko przytrzymanych grzebieniem. Na tle dobrego czarnego tiulu szalik taki 60 cent. szeroki, długości odpowiedniej do gustu, można wywieść ręcznie lub naszyć deseń cieniutką koronkową tasiemeczką.



N. 20. Tło szydełkowe do sakiewki ryc. 2.

N. 32. Ślubne ubranie głowy dla młodej osoby.

Wianeczek z mirtowych gałązek mieszanych ze świeżym kwiatem, położony jest płasko na włosach odczesanych do tyłu; welon spuszczony na twarz w czasie obrzędu ślubnego, odrzuca się z twarzy po powrocie do domu.

N. 33. Ślubne ubranie dla wdowy.

Podług zwyczaju dawnego, przyjętego w naszym kraju, wdowy stające po raz drugi do ślubu, biorą na głowę barbkę koronkową z kwiatami pomarańczowemi lub białemi różami. Moda wprowadzająca zmiany we wszystkiem, dla młodych wdów robi to ustępstwo iż pozwala im użyć welonu przypiętego pod sutym djademem z kwiatu pomarańczowego i liści, podgarnirowanym koronką; welon dla wdowy ma kształt szala spiętego na piersiach bukietem i nie może być spuszczony na twarz.



N. 25. Kapelusz jesienny. Patrz r. 26.



N. 27. Żabot z koronki i wstążki.

N. 34—35. Naszyjnik i szpilka.

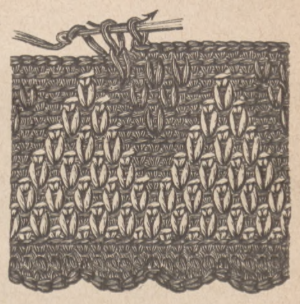
Naszyjnik cienką filigranową robotą ozdobnie wyrobiony ze srebra, efektownie odbija na szerokiej czarnej aksamitce. Duża szpilka do ozdoby głowy wyrobiona z matowego złota i z oksydowege srebra.

N. 37. Suknia z vêtement.

Do spódnicy z gładkiego fularu, koloru bordeaux, włożone vêtement z różowej satynki w deseń z dużych kwiatów, u góry dopełnione kamizelką fularową, do dołu otwierające się szeroko, z tyłu zaś bardzo suto podpięte. Pod szyją dany kołnierz stojący aksamitny i takież wykłady przy niedługich rękawach, ogarnirowanych koronką. Na szyi chusteczka tiulowa, oszyta koronką 6 cent. szeroką.



N. 22. Szkatułka na pieniądze. Patrz r. 23—24.



N. 21. Tło szydełkowe do sakiewki ryc. 4.

N. 38 i 16. Suknia ze stanikiem à panier. Krój na arkuszu N. I, fig. 1—5a.

Materyał zwierzchni kraje się podług formy danej na arkuszu, podszewkę zaś trzeba krajać tylko na długość zwykłej baskiny przy staniku; na uwagę zasługują przody o jednej bardzo głębokiej zaszewce. Prawą połowę przodów kraje się z nadpuszczeniem do zapinania na drugi rząd guzików, lewa węższa zapina się od spodu na kryte haftki. Po zszyciu stanika dolny zaokrąglony brzeg panier składa się w fałdy i zwraca do boków; tylne upięcie złożone z dwóch nierównych końcy dopełnione oddzielną częścią fig. 3, układa się podług ryc. 16. Spódnica może być plisowana lub garnirowana falbankami, na tunikę potrzeba przodu 25 cent. szerokiego a 85 długiego i tylnego bryta 115 cent. długiego a 125 szerokiego. Na staniku upięta zręcznie koronkowa chusteczka, złączona kokardą z bukietem kwiatów.



N. 26. Kapelusz jesienny Patrz r. 25.



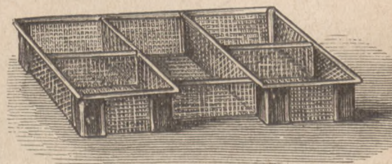
N. 28. Żabot koronkowy.



N. 23. Szkatułka na pieniądze. Patrz r. 22 i 24.



N. 29. Stora z wyszyciem krzyżykowem. Desenie na arkuszu fig. 31—32 i N. 3—6.



N. 24. Środek z przegródkami do szkatułki, r. 22



N. 30. Szlak haftowany jedwabiem i nitką złotą.



N. 32. Ślubne ubranie dla młodej osoby.

N. 31. Szalik koronkowy jako zarzutka na głowę.

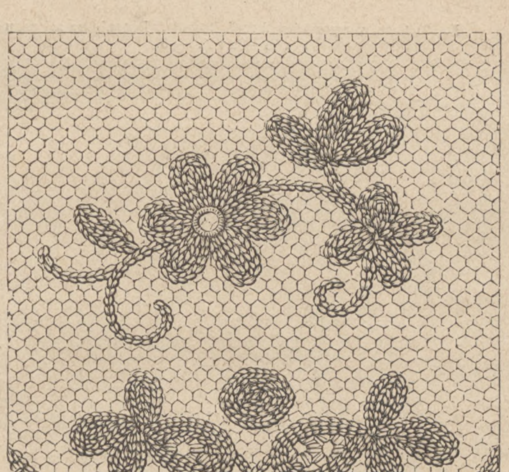
N. 34. Ozdobna szpilka do włosów.

N. 35. Naszyjnik z aksamitką.

N. 33. Ślubne ubranie dla wdowy.



N. 37. Suknia z vêtement.



N. 36. Koronka ściegiem tamborkowym na tiulu.



N. 38. Suknia ze stanikiem à panier. Krój na arkuszu N. I, fig. 1—5a.

TYGODNIK MÓD.

w Warszawie 1882 r.

Dodatek z krojami i deseniami do Nr. 40 i 41.

N. 1. Stanik á panier. Ryc. 16 i 38 w N-rze 41.

Miara objętości przez połowę: 45 cent. w gorsie, 27 w pasie.

Fig. 1. Przód z odznaczeniem plastronu danego przy połowie zachodzącej na wierzch (A, B, G, H, I, *, :, × I i · 1)
Fig. 2. Boczek (A, B, C, D)
Fig. 3. Połowa pleców wraz z częścią górnej draperyi (C, D, E, F, G, H)
Fig. 4. Rękaw (I, K, L, M)
Fig. 5. Pasek do kołnierzyka (E, *)

Fig. 1a—5a. Zmniejszony format zestawionych razem części kroju, fig. 1—5.

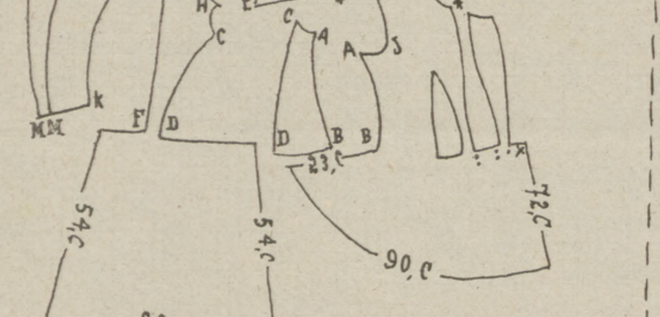


Fig 1a—5a

N. II. Vêtement do sukni, ryc. 1—2 w N-rze 40 i ryc. 17 w N-rze 41.

Miara objętości przez połowę 49 cent. w gorsie.

Fig. 6. Połowa przodów wraz z boczkiem. Forma w dwóch częściach, odznoczanych liniją przecinającą.
Fig. 6 A. Górna część przodu (R, S, Y, *, :)
Fig. 6 B. Dolna część przodu (N, O, P, Q, T, * ·)
Fig. 7. Połowa pleców (P, Q, R, S, X)
Fig. 8. Rękaw (T, U, V, W)

Fig. 6a—9a

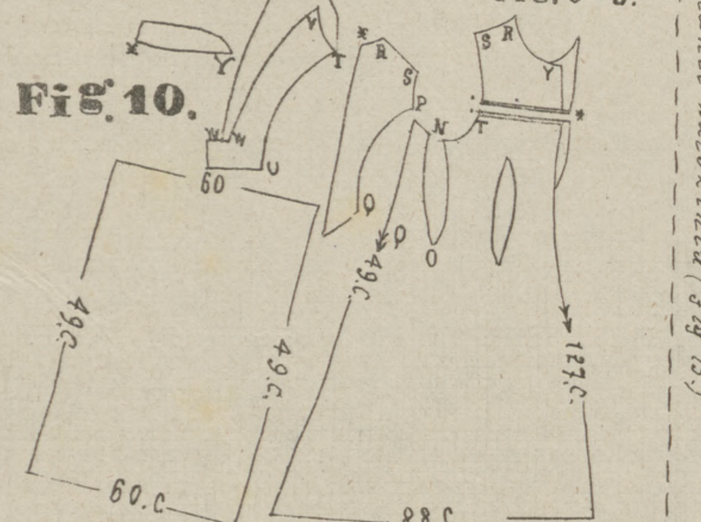
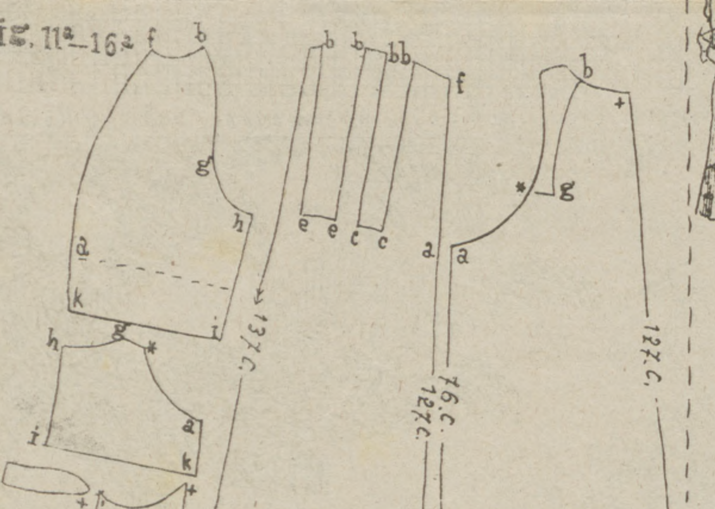


Fig. 10.

Fig. 9. Połowa paska do kołnierzyka (X, Y)
Fig. 10. Wskazanie kroju połowy tylnego bryta.

Fig. 6a—9a. Zmniejszony format zestawionych razem częśc. fig. 6—9, tudzież fig. 10.

Fig. 11a—16a



N. III. Długi płaszczyk podróżny. Ryc. 21—22 w N-rze 40.

Fig. 11. Przód (a, b, g, *, +) 1 założenie formy
Fig. 12. Połowa pleców (a, b, c, d, e, f, :, ·)
Fig. 13. Zwierzchnia połowa rękawa (a, b, f, g, h, i, k) 1 założenie.
Fig. 14. Spodnia połowa rękawa (a, g, h, i, k, *)
Fig. 15. Kołnierz szeroki (:, +)
Fig. 16. Połowa stojącego kołnierza (:, +)

Fig. 11a—16a. Zmniejszony format zestawionych razem części kroju, fig. 11—16.

N. IV. Vêtement formą paletocika, dla dziewczynki lat 6—8. Ryc. 6—7. w N-rze 40.

Fig. 17. Przód (l, m, r, s, t, x) 1 założenie
Fig. 18. Boczek (l, n, o, y)
Fig. 19. Połowa pleców (n, o, p, q, r, s)
Fig. 20. Rękaw (t, u, v, w, :, *)
Fig. 21. Połowa mankieta (*, :)
Fig. 22. Kieszonka (x, y)

N. V. Kołnierz szeroki dla dzieci. Ryc. 5 w N-rze 40.

Fig. 23. Połowa kołnierzyka

N. VI. Szeroki mankiet noszony na rękawic. Ryc. 12 w N. 40.

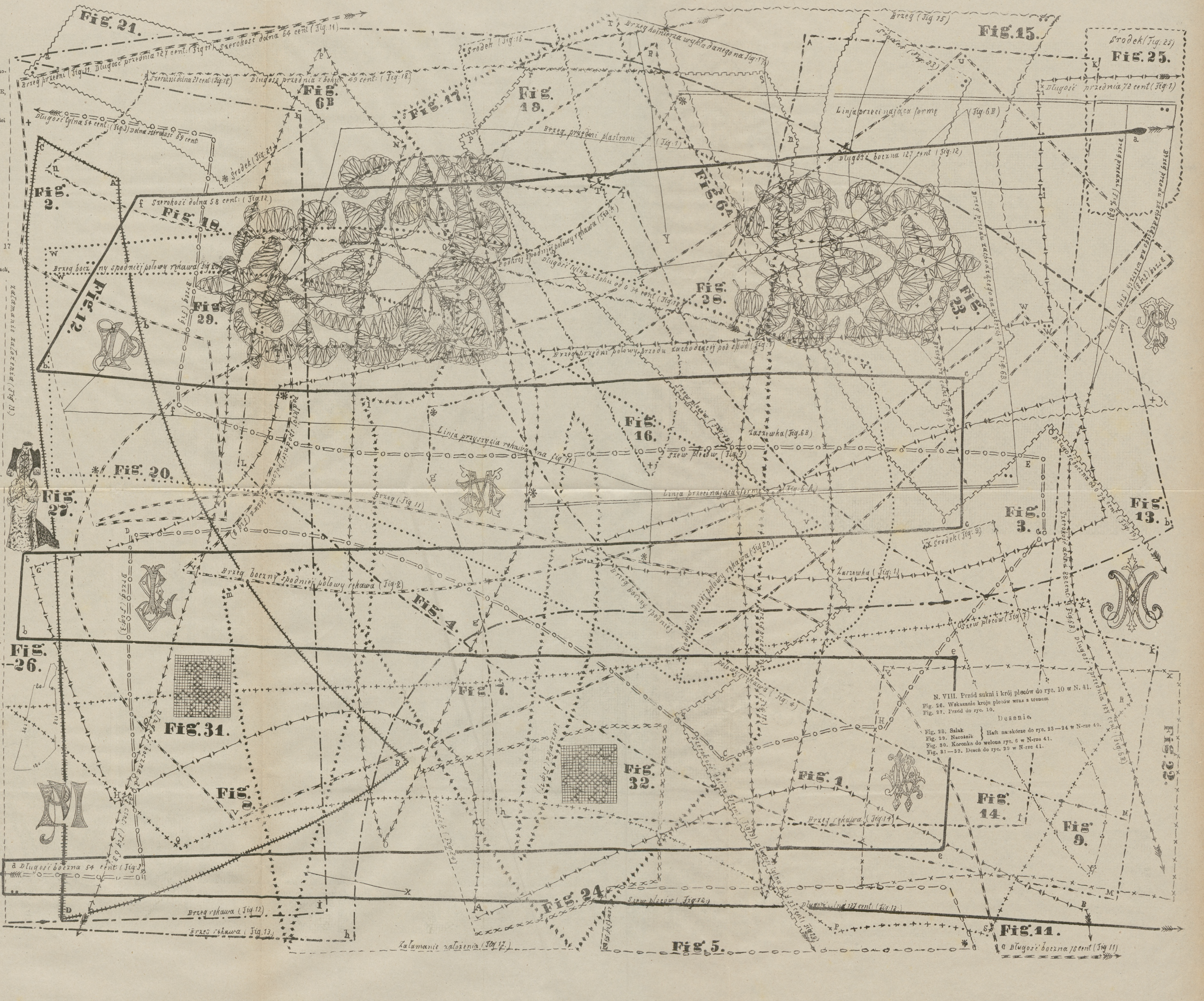
Fig. 24. Połowa mankieta

N. VII. Wązki mankiet noszony na rękawie. Ryc. 13 w N. 40.

Fig. 25. Połowa mankieta



Fig. 30.



N. VIII. Przód sukni i krój pleców do ryc. 10 w N. 41.

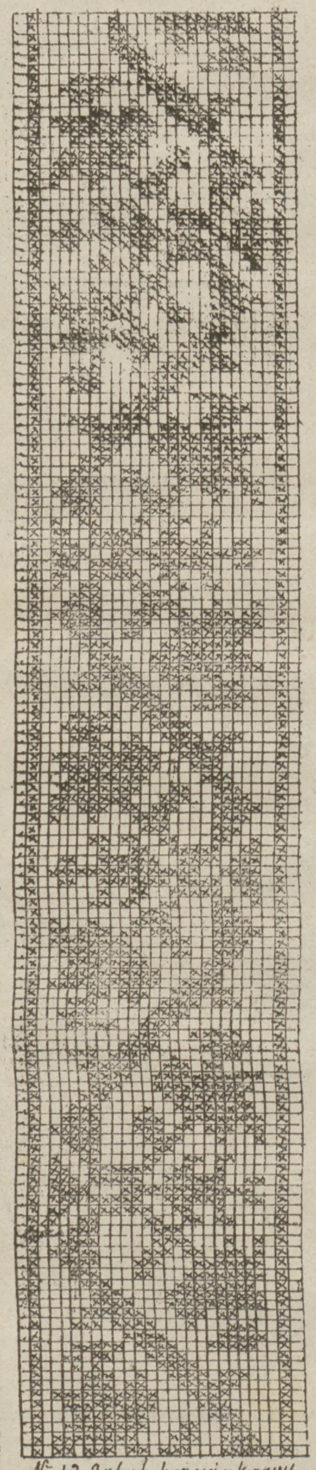
Fig. 26. Wskazanie kroju pleców wraz z trenem
Fig. 27. Przód do ryc. 10.

Desenie.

Fig. 28. Szlak } Haft na skórze do ryc. 23—24 w N-rze 40.
Fig. 29. Narożnik }
Fig. 30. Koronka do welona ryc. 6 w N-rze 41.
Fig. 31—32. Deseń do ryc. 29 w N-rze 41.



N° 2 Narożnik i część środkowa do serwety ryc: 14-15 w N° 40.



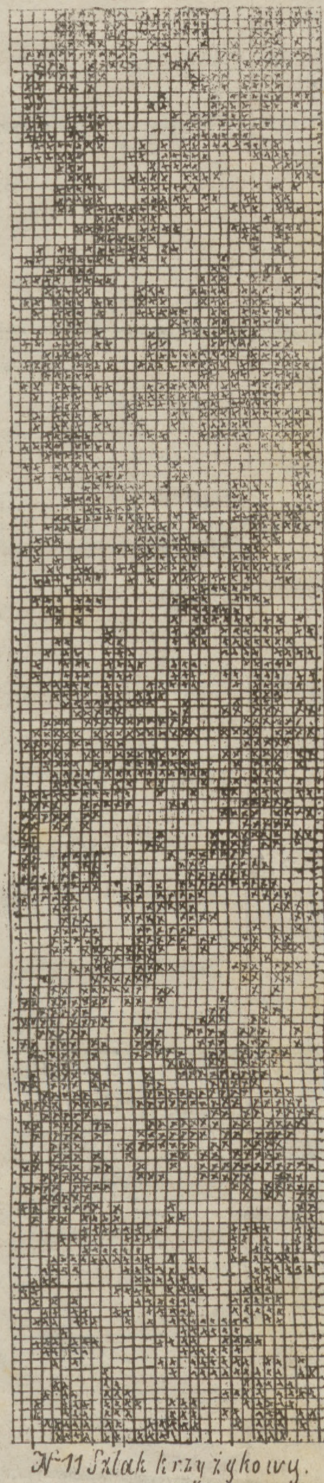
N° 12 Szlak krzyżykowy



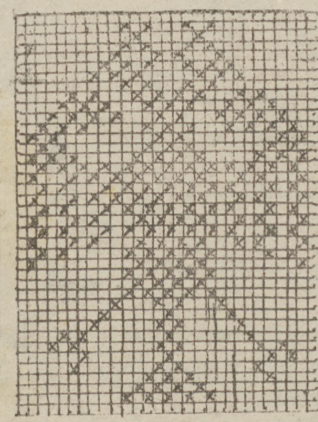
N° 8_10. Szlaczki wyszyte krzyżykami



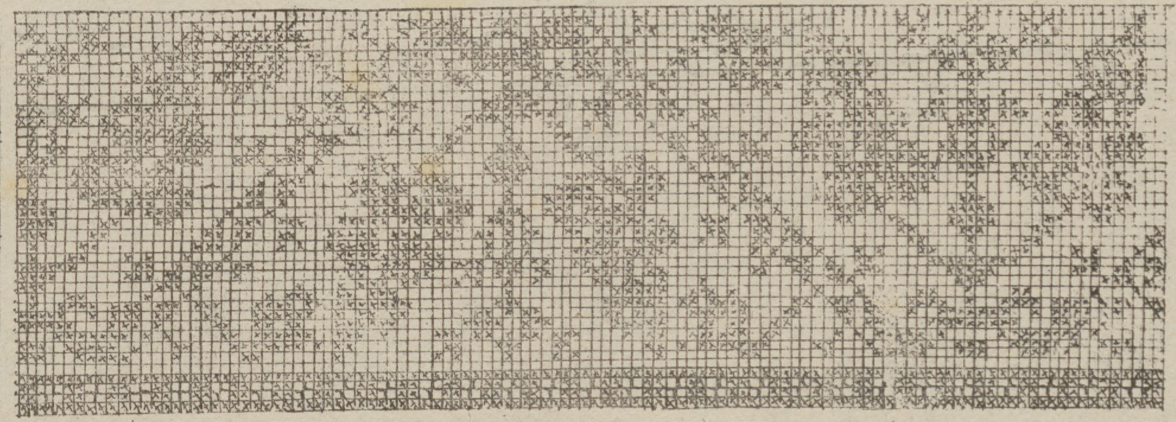
N° 13 Szlak w guście Włoskim.



N° 11 Szlak krzyżykowy.



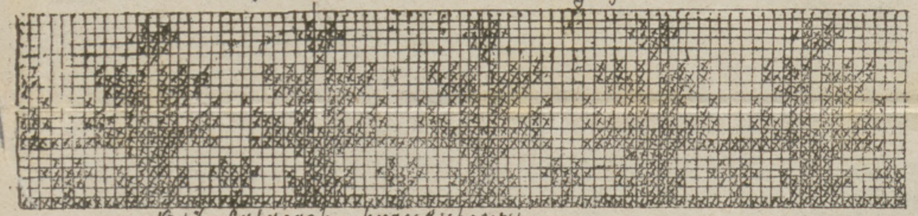
N° 4. Część deseniu do ryc: 29. w N: 41.



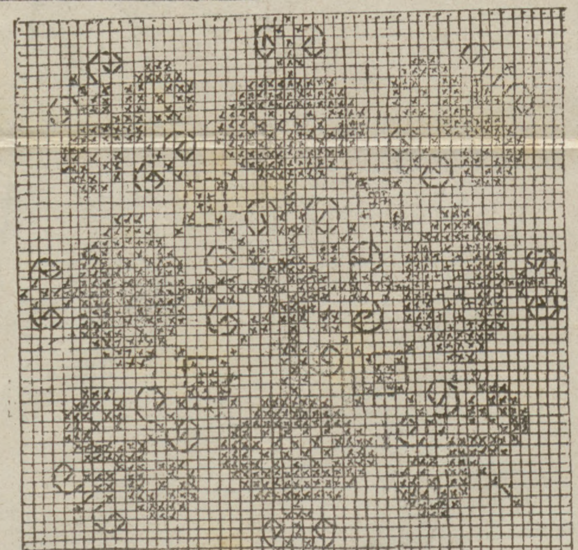
N° 7. Szlak na ścieg krzyżykowy lub do wyszycia na siatce



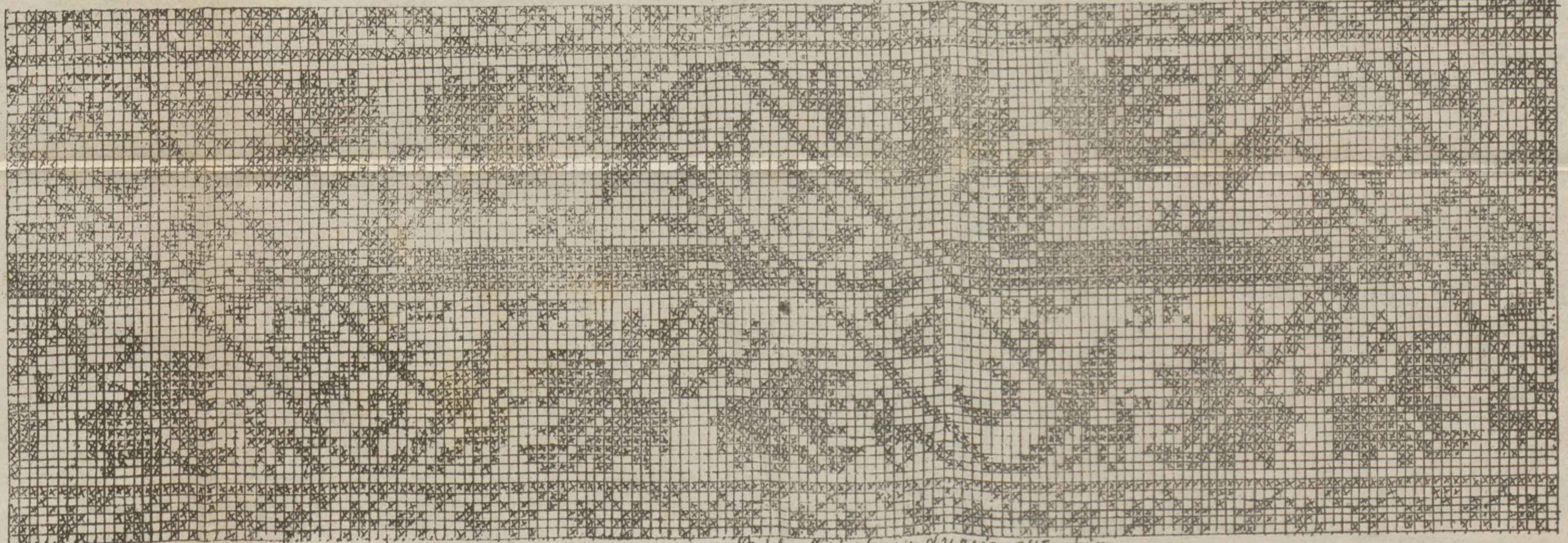
N° 1 Haft z podkładaniem do ryc: 3 w N. 41.



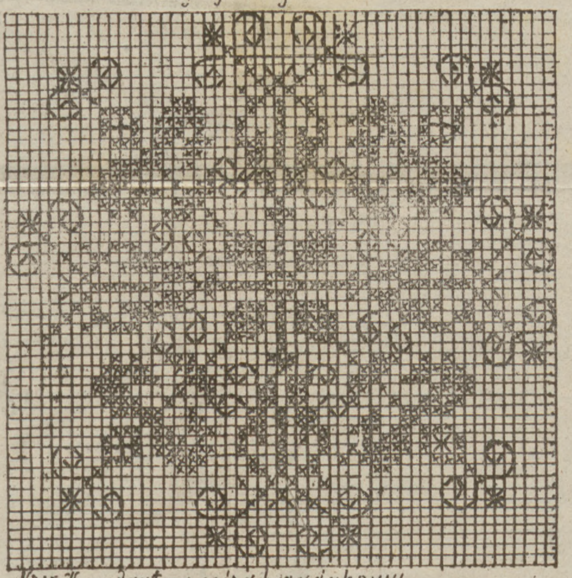
N° 17 Szlaczek krzyżykowy.



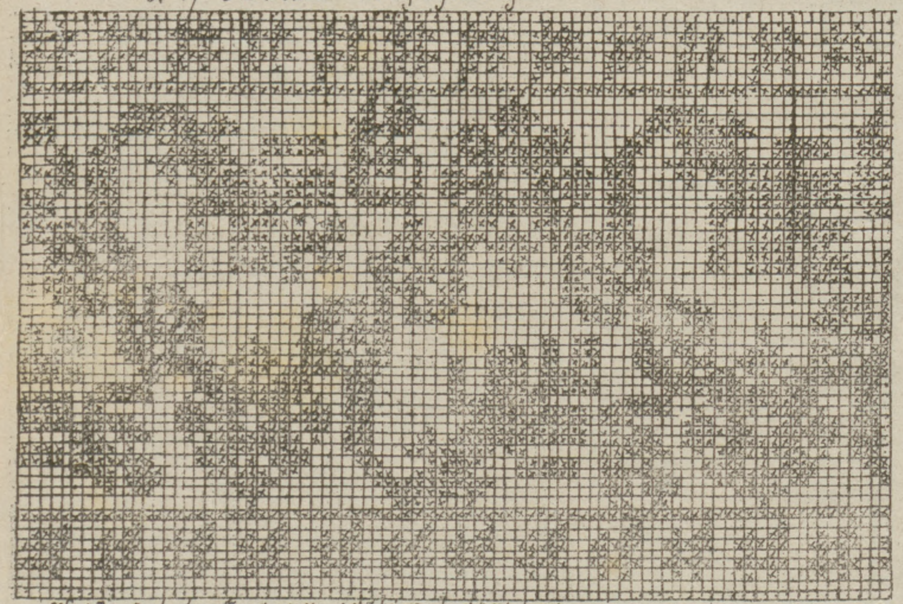
N° 16 kwadrat na ścieg krzyżykowy.



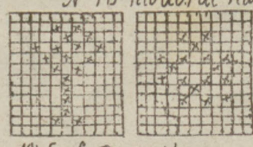
N° 14 Szlak w guście Włoskim.



N° 15 Kwadrat na ścieg krzyżykowy



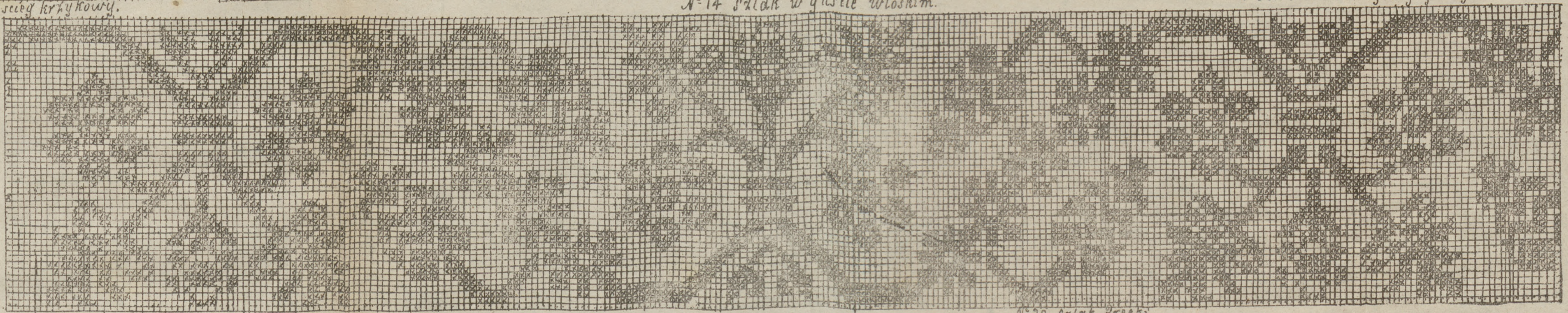
N° 18 Szlak otoczony wązkim brzeżkiem.



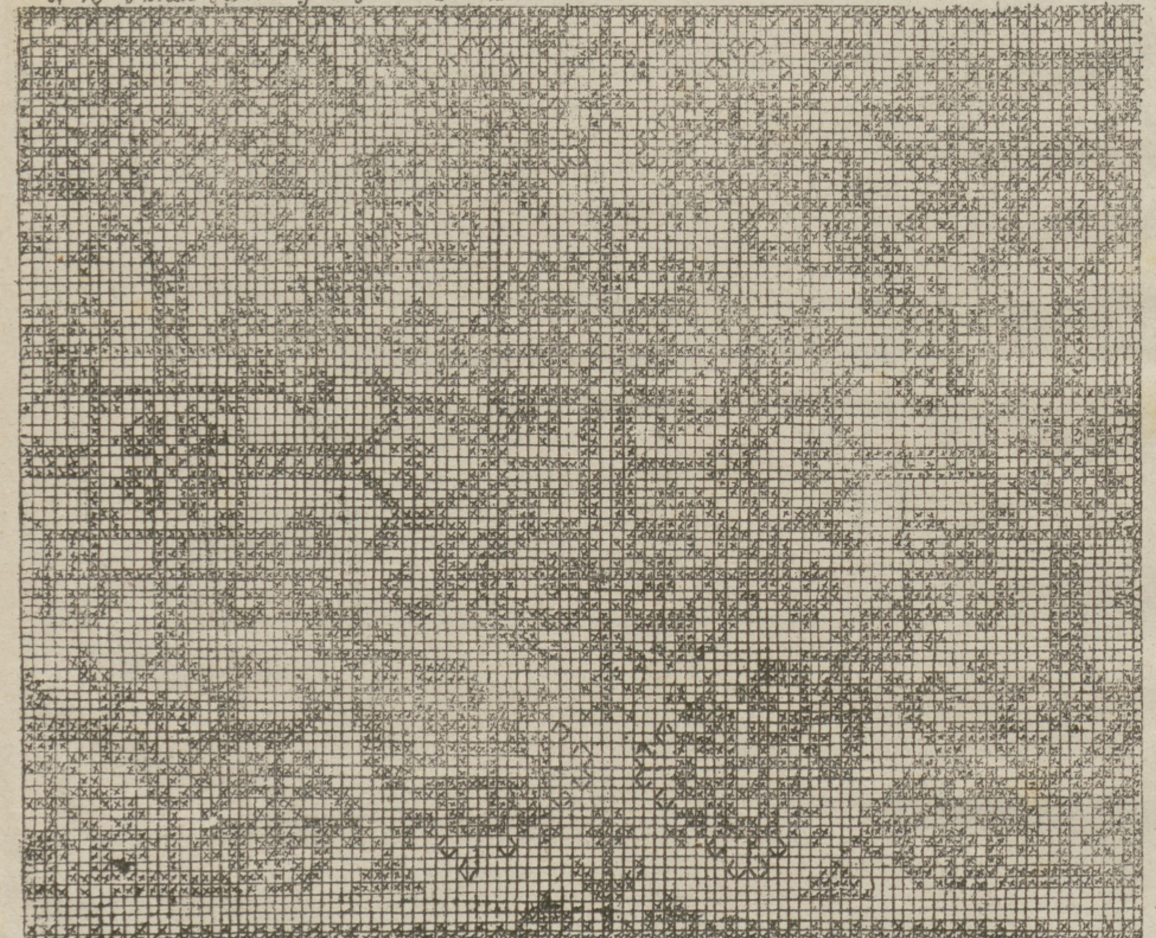
N° 5-6 Rzucik.



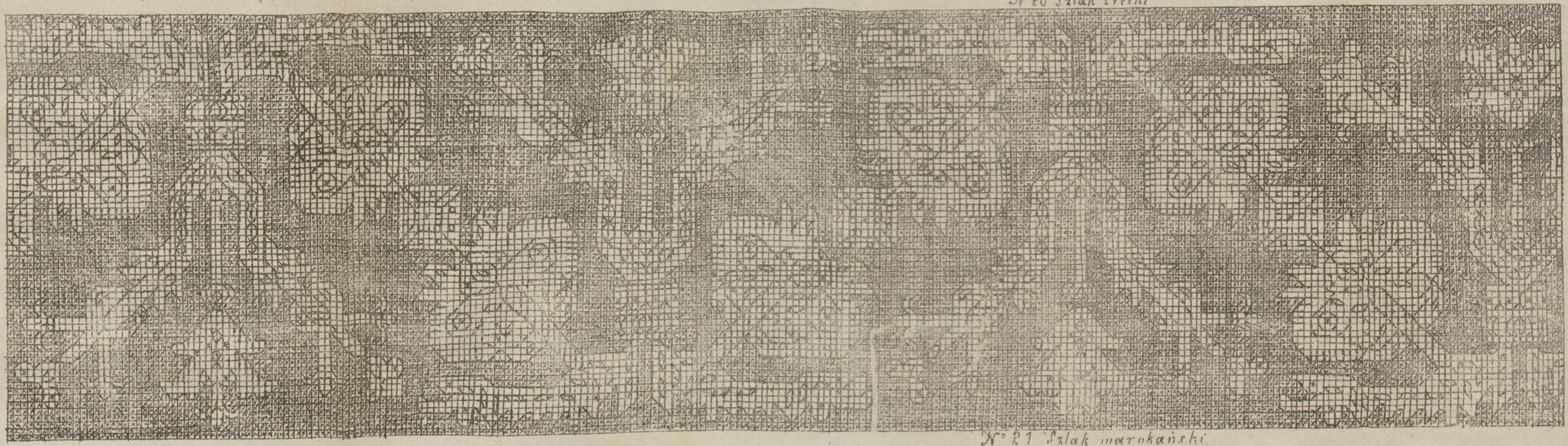
N° 19 Wązki szlaczek



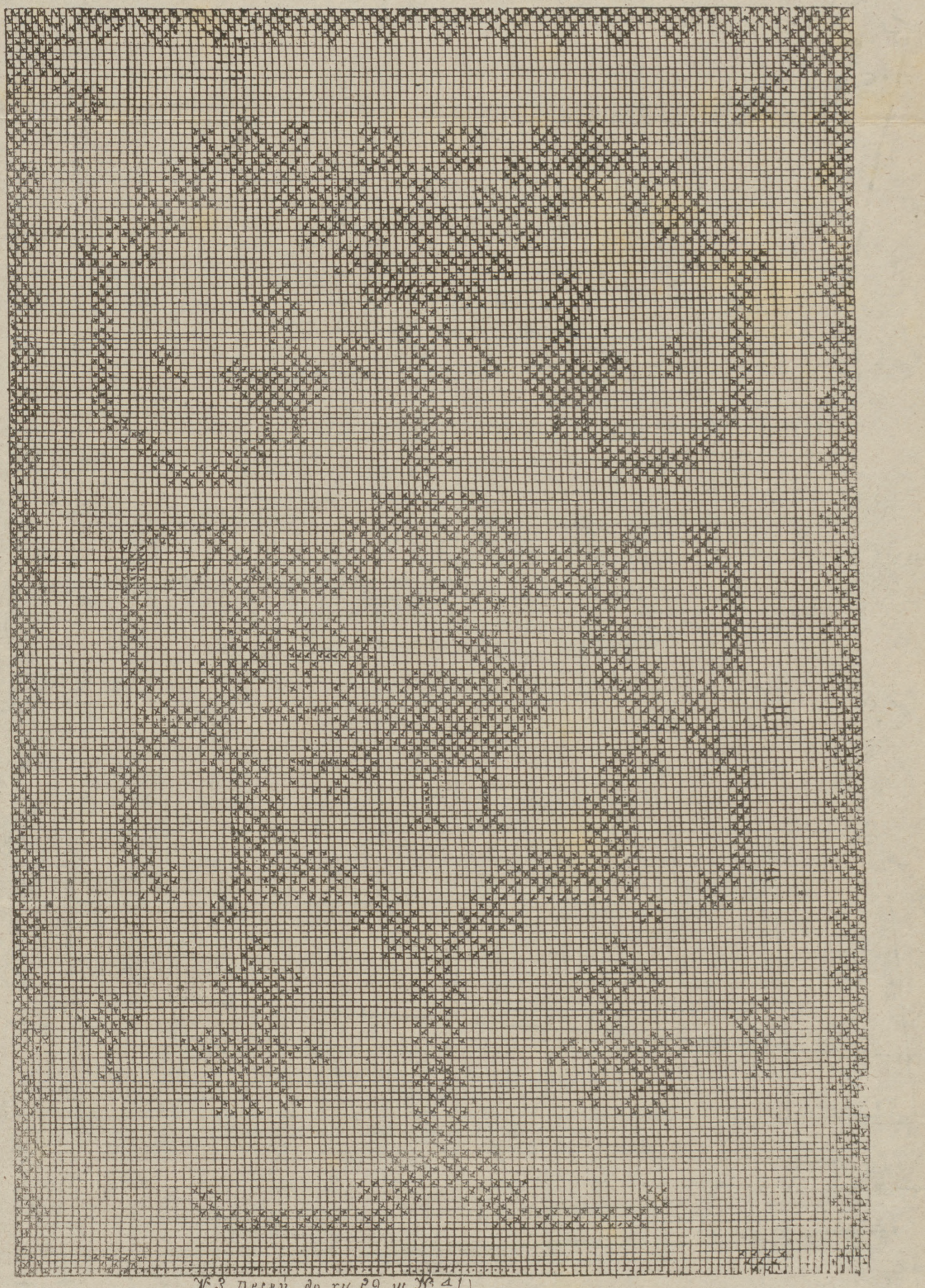
N° 20 Szlak Grecki



N° 22 Szlak dający wyszyć się jako kwadraty.



N° 21 Szlak marokański



N° 3 Deseń do ry 29 w N° 41.)